Stron 16 — BOŻE NARODZENIE 1950 — NOWY ROK 1951 — Cena 1/6 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Rok VI. — Londyn, niedziela 24—31 grudnia 1950 — Nr. 52-3 (183-4)

PASTORAŁKA STAROPOLSKA

NUŻ MY, BRACIA PASTUSZKOWIE

Nuż my bracia pastuszkowie,
kompanowie,
Wszyscy razem bieżmy,
do Betleem śpieszmy:
Anieli nam rozkazali,
Byśmy Boga oglądali
Narodzonego.

Walek z Jędrkiem na to dziwo,
biegnie żywo
Od trzody do szopy,
wziąć pótory kopy
Jajek dla nowego Pana,
Śpiewa sobie dana, dana,
I śpieszno bieży.

Tuż za niemi Iwan stary
od koszary,
Niesie szkopek mleka,
i woła zdaleka:
Będzie miało święte Panię
Słodką kaszę na śniadanie,
Moje kochanie.

Góral śliwek koszałeczkę,
i miseczkę
Wziąwszy z domu masła,
pobieżał do jasła:
Nu Panuszku, przyjmiże to,
Co ci przynoszę z ochotą,
Zda się Tobie.

Krakowiaczek hoży, młody,
na te gody,
Wiął za pas fujarkę,
kaszki drobnej miarkę:
Zakrzesawszy podkówkami,
I brząknąwszy kółeczkami,
Skoczno pobieżał.

Ślęzak wieprzków pędzi parę,
na ofiarę,
Zostawiwszy trzody,
śpieszy na te gody:
Chce wyskoczyć z kompanami,
Lecz nie może przed trzosami,
Przed tym Panięciem.

Idą chłopy od Szkalmierza,
znać z kołnierza,
Z czarnymi pałkami,
trzaskają nogami:
Pasy mają ćwieczkowane,
Łby guzami obsypane,
Snać po jarmarku.

Lecz nie widać Kujawiana,
aby siana
Przyniósł na posłanie,
Tobie śliczny Panie:
Żeby Ci twardo nie było,
I zimno nie dokuczyło,
W lichej stajence.

Mazur woła: hojze moja!
do oboja,
I do piscałecki,
dla tej dziecinecki:
Zagramci Mu wdzięcznie miło,
By się nami uciesyło,
To Paniątecko.

Podlasianin niesie gąskę,
siana wiązkę,
Taki dla Jezusa,
którego ma dusza,
Z całego serca miłuje,
Taki zatem nie żałuje,
Dać Jemu tego.

Litwin z łasa jak kiełbasa,
hasa, hasa,
Przyprawia boćwinę,
by karmił Dziecinę,
A kałuchę kraje palcem,
Kądjuch stawia razem z smalcem,
Wiotalis kieptas.

Rusin mówi pijdu i ja,
pomohu ja
Z bratkami śpiwaty,
innych poprahaty,
By wsi chutko prychodyły,
Knyszy, perohy znosyły,
Panu dawały.

Węgrzyn kusy z olejkami,
z kropliczkami,
Do szopy przybywa,
tož głosu dobywa:
Segiń legiń iś katona,
Sem prynosim tu pre Pana,
Zdrawe olejki.

Moskalowi, gdy znać dano,
nakazano:
Kak stupaj batiuszka,
rodyt sia Dytuszka,
Drugich braty zakłykaty,
Sałdat braty poprahaty,
Stupaj do Betleem.

Niemiec bieży marsz w te tropy,
do tej szopy,
Ach, ach, ach mejn Kinder,
in der grossen Winter,
Ist geboren, ausekoren,
In der Krippe nycht erfroren,
In Betleem sztal.

Holenderczyk, gdy przybywa,
z sobą wzywa
Pobliższe narody,
do szopy w zawody:
Angielczyka i Duńczyka,
Kicynenich, wart ejn wenig
Tuch und Gold ist da.

Włoch zdaleka nadskakuje,
wykrzykuje:
Dove e Syniore,
nostro grand amore,
Aportato, un bel piatto
De limoni, makaroni.
Per i Bambini.

Hiszpan słucha, w niebo dmucha,
koło ucha,
Pyta czy w Madrycie,
narodzone Dziecię:
Valga dios, senior mios
Tele geros kawaleros.
[illegible]

Francuza choć nie proszono,
obaczono,
Mą Dju! co się dzieje,
w Betleem jaśnieje:
Notr Dam święta Panieneczko,
Witam Twego Jeuzeczko,
Bą żur o bą Dju.

Cygan bieży z dary swymi,
za drugimi,
Furdyt sołonynka,
dla Bożyho Synka:
Dziassa prindi dzia kulina,
Pereskocyt i dolina,
Do Betleemu.

Także Żydom rozkazano
i znać dano,
By Pana witali,
do szopy biegali,
Pokłon Jemu oddawali,
Messyjasza wyznawali,
Winnym ukłonem.

Żydzi mówią: skąd Messyjasz,
to Pan nie nasz,
Nie tak On psichodzi,
jak w Bublii chodzi:
My Go czekamy wielkiego,
Wy Go macie maleńkiego,
Winder Dzieciątko.

Łacinnik śpieszy hukając
i śpiewając:
Verbum caro factum,
nobis coelo datum,
Atque genti confidenti,
Et in terra permanenti,
Salus aeterna.

A od wschodu trzej Królowie,
monarchowie,
Do Betleem jadą,
ofiary swe kładą:
Narodzonego witają,
Innym ochoty dodają,
By się śpieszyli.

Przyjmiż nas za swe sługi,
na wiek długi,
Jako Twych poddanych,
Jezu, Tobie danych:
Przyjmij i to co dajemy,
Bo się więcej nie możemy,
Czym Ci przysłużyć.



Mal. Botticelli

JAN TOKARSKI

DZIŚ SIĘ CHRYSTUS NARODZIŁ!

DZIŚ narodził się Chrystus, dziś ukazał się Zbawiciel: dziś na ziemi śpiewają Aniołowie, weselą się Archaniołowie: dziś radują się sprawiedliwi, mówiąc: chwała na wysokościach Bogu. Alleluja. — Tak oto Kościół wspomina[1]) chwilę, w której Słowo stało się ciałem. D z i ś. Chrystus rodzi się zawsze w duszach naszych, ale historycznie, w ciele, urodził się raz. Kościół jednak, jak zauważa pewien wielki liturgista, — opowiada p r z e s z ł o ś ć, ale myśli o t e r a ź n i e j s z o- ś c i. Dlatego to wielokroć powtórzone d z i ś.

Niech będzie to przykładem i dla nas, którzy tak bardzo jesteśmy narażeni na pokusę wspominania. Jeśli wspominamy, niech to nie będzie dla ucieczki przed tym, co nas otacza, ale dla lepszego rozejrzenia się w tym, co z woli Opatrzności jest nam dane jako teraźniejszość, której chrześcijaninowi nie wolno odrzucać dla przeszłości, ani przeskakiwać w bezpłodnym marzeniu o nieznanej przyszłości.

Jest Boże Narodzenie. Dokonywa się jeden z tych paradoksów katolicyzmu, przekraczających „wszelki zmysł": Nieskończoność zawiera się w skończoności. Nieogarniony — w korycie do karmienia bydląt. Wszechmocny — bezsilny w swym ludzkim niemowlęctwie. Pan i Stwórca wszechrzeczy — pokonany własną miłością ku stworzeniu. — „O Najwyższy Panie! Waleczny Hetmanie! — Zwyciężonyś, mając rączki miłością związane". — śpiewa jedna z staropolskich kolęd.

Rodzi się Król nieba i ziemi. Pałacem Króla jest stajnia, tronem żłóbek, pajęczyny kosztownymi draperiami, zamiast wonnych olejków — zapach gnoju. Całe otoczenie Władcy, to dwoje ubogich ludzi, a tak niepozornych, że odmówiono im nawet miejsca w gospodzie. Może nawet nie chcieliby tego miejsca? Czyż ta grota na ustroniu nie lepiej ustrzeże wstydliwości dziewiczej Matki niż krzykliwy, pełen ludzi karawanseraj pod gołym niebem?

Król rodzi się w ukryciu przed światem, bo nie ze świata jest Jego królestwo. Świat nie chce uznać Jego nowych praw. Nie będzie się też potem Jezus chciał modlić za świat, który żyje odwrotnością tego, z czym przyszedł jego Władca: świat nie chce ubóstwa, pokory, poniżenia, ofiary; nie chce miłować nieprzyjaciół, oderwać się od pozorów i nie chce pierwszeństwa Boga we wszystkim. Odwraca się od nowej skali wartości, która przyszła z tym Dzieckiem, nazwanym wkrótce, i na wieczność: signum contradictionis — znakiem, któremu sprzeciwiać się będą.

Ale, bo też ten Król głosić będzie szokującą naukę! Będzie na przykład twierdził, że niebo raduje się bardziej z jednego nawróconego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu świętych, że bliższe jest ono nierządnic i oszustów niż ludzi — we własnych oczach i oczach świata — porządnych, że święto jest dla człowieka, a nie człowiek dla święta. Tajemnicę Ojca, że jest Mesjaszem, wyjawi nie kapłanom Jahwy ani prawowiernym członkom swego ludu, lecz dysydentce, heretyczce i kobiecie złego prowadzenia, Apostołom natomiast zakaże, aby mówili komukolwiek z żydów, „że On jest Jezusem Chrystusem"...

I już teraz, kiedy się rodzi, jawi się odwrócony porządek rzeczy. O Przyjściu dowiedzą się najpierw nie urzędowo upoważnieni, lecz ci, którzy właśnie w ich oczach uchodzą za bezbożnych, przeklętych, niegodnych, niemal ostatnich wyrzutków narodu: — pasterze. Ludzie nieczyści, nie stosujący obmyć rąk i naczyń, a więc przestępujący święte prawo obrzędowe, uważani za złodziei, tak że grzechem było nabywać od nich cokolwiek, traktowani na poziomie złoczyńców, bo w sądzie świadectwa obu tych najniższych kategorii ludzkich nie miały żadnego znaczenia. I tych ludzi, wyrzuconych poza nawias społeczności przez kapłanów, zakonnych doktorów, faryzeuszy, wybiera sobie Bóg jako tej społeczności najgodniejszych przedstawicieli, aby im powierzyć tajemnicę Wcielenia Swego Syna i przez nich zwiastować „wesele wielkie, które będzie wszystkiemu ludowi". Im ukazuje się Anioł, ich to otoczy tej nocy „jasność Boża", oni ujrzą mnóstwo wojska niebieskiego i usłysza pierwszy hymn Nowego Królestwa, głoszący pokój ludziom dobrej woli, którzy na pierwszym miejscu stawiają chwałę Boga na wysokościach.

Ilekroć przeżywamy Boże Narodzenie, myślimy o tej scenie na polach betlejemskich. „Ubodzy! Was to spotkało witać Go przed bogaczami"... U samego początku misji Zbawiciela jako świadkowie Narodzin zjawiają się pasterze. Może jak na obrazie Jacopone Bassano — prostaccy, obdarci, z bosymi nogami, w które brud ziemi wrósł brązowymi i zielonkawoczarnymi smugami. Ci, których świadectwu odmówiono wszelkiej wagi. Dziwni zaiste świadkowie, jak na światowe pojęcia! I cała ludzkość ujrzy ich raz jeszcze w Powtórne Przyjście, w gronie nędzarzy, ubogich, prześladowanych i poniewieranych przez świat od jego początku aż po jego dzień ostatni. Wraz z legionem uznanych za najnędzniejszych i najniegodniejszych wydadzą świadectwo — za lub przeciw — wszystkim, którzy żyli na ziemi. I będzie Ktoś, kto uzna ich świadectwo a nawet przyjmie je za podstawę wyroku: Ten sam Jezus, tym razem jako Sędzia Sprawiedliwy. Ubodzy s ą przerażający. Jak Sąd Ostateczny. — Tak mówi św. Wincenty a Paulo.

Świat rozczulał się i wzruszał widokiem pasterzy u żłóbka, śpiewał o nich, pisał, malował ich. Lecz zapomniał, że są jego sędziami, że Chrystus przede wszystkim utożsamił się z nędzarzem i potrzebującym. Powiada Prorok, że Sodoma i Gomora zostały spalone za to, że potrzebującym chleba nie dawały. Ile w ogniach, od których gorzeje dzisiejszy świat, jest piekącego żaru kilkowiekowej krzywdy społecznej?

Za wzorem Dzieciątka i Chrystusa Sędziego jedynie Kościół pamiętał o roli ubogich i wyzyskiwanych, przypominając możnym ich obowiązki i uciskanym, aby nie zrzekali się bynajmniej swego prawa dochodzenia tego, co im się słusznie należy. Ale Kościół nie obiecuje w nagrodę za Wiarę raju na ziemi, jak go obiecywali żydzi z przyjściem Mesjasza i jak go obiecują dziś fałszywi odkupiciele komunistyczni. Sam lepszy rozdział dóbr materialnych nie rozwiąże niczego, choćby poprawił wiele, bo oprócz głodu chleba istnieje jeszcze potężniejszy głód prawdziwej godności, której nie daje żadne ludzkie zrównanie rachunku.

„Kiedy milczenie okrywało ziemię, a noc była w połowie swej drogi, Twoje Słowo wszechmocne, Panie, zstąpiło z nieba, z tronu królewskiego". Głosząc tak pięknymi słowami Narodzenie, liturgia wskazuje nam zarazem na źródło i zasadę nieskończonej godności każdego człowieka: Jezusa, który „w niwecz obraca dumne zamysły serc, potężnych władców z ich tronów obala, wywyższa zaś maluczkich; łaknących nasyca hojnie dobrami, a z niczym odprawia bogaczy" (Magnificat). Który na to stał się człowiekiem i wyniszczył się przyjąwszy postać sługi, aby nas przebóstwić. — Uznaj, o chrześcijaninie, godność swoją, nawołuje św. Leon Wielki.

Radujmy się więc z Kościołem: „Światłość wielka zabłyśnie dzisiaj nad nami: albowiem narodził się nam Pan: Imię Jego: Przedziwny, Bóg, Książę pokoju, Ojciec przyszłego wieku. A królestwu Jego nie będzie końca. Pan jest Królem, oblókł się w majestat; Pan się przyoblókł i przepasał mocą".

„Dziś prawdziwy pokój zstąpił dla nas z nieba na ziemię. Dziś przez cały wszechświat niebiosa spływają miodem. Dziś rozbłysnął dla nas dzień nowego Odkupienia, naprawy zdawna zwiastowanej, wiecznej szczęśliwości".

Jan Tokarski

[1]) Antyfona do Magnificat z II Nieszporów Święta.

WŁADZOM RZECZYPOSPOLITEJ, NAJPRZEWIELEBNIEJSZEMU PROTEKTOROWI UCHODŹTWA, PRZEWIELEBNYM WIKARIUSZOM GENERALNYM, WIELEBNEMU DUCHOWIEŃSTWU, POLAKOM W KRAJU I NA OBCZYŹNIE, WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM—BŁOGOSŁAWIĄCEGO UŚMIECHU DZIECIĄTKA BOŻEGO I JEGO SERDECZNEJ POMOCY WE WSZYSTKICH POCZYNANIACH ŻYCZĄ

REDAKCJA I ADMINISTRACJA „ŻYCIA" I „GAZETY NIEDZIELNEJ"

o r a z

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „V E R I T A S"

OKRES ŚWIĄTECZNY

DWA cykle roku liturgicznego zbudowane są w ten sam sposób: Wpierw mamy jakby wzniesienie, będące przygotowaniem, następnie wspinanie się po wysokościach w czasie samego święta, wreszcie zejście na równiny w okresie, w którym cykl się wypełnia. Okresem przygotowania cyklu zimowego jest Adwent. Gdy czas ten się już skończył, ogarnia nas zdumienie dla bogactwa symbolicznej i dramatycznej poezji, którą Kościół w Adwencie roztacza. Żaden okres roku liturgicznego nie posiada takiej przeobfitości kantyków, wersetów i śpiewów. Jak z rogu obfitości spływa na nas barwna ulewa pieni liturgicznych.

A teraz, bez przerywania ciągłości, jako naturalna emanacja Adwentu, nadchodzi Bożenarodzenie. Czas świąteczny obu cykli roku liturgicznego ma jeszcze to wspólne, że w nich obu są po dwa wielkie święta, które jak dwa filary mostu, podtrzymują okres świąteczny. W cyklu zimowym mamy Bożenarodzenie i Epifanię (w Polsce t. zw. święto „Trzech Króli" — dop. Red). W cyklu letnim — Wielkanoc i Zesłanie Ducha św. Jest jednak różnica między obu parami tych świąt. Wielkanoc i Zesłanie przedstawiają organiczny *rozwój* tej samej myśli zbawienia. Bożenarodzenie i Epifania są *powtórzeniem* tej samej myśli. Święcenie *obu* tych uroczystości wyjaśnić nam mogą tylko powody natury historycznej.

Bożenarodzenie jest świętem Zachodu, Epifania zaś — Wschodu. Zachód przejął Epifanię, a Wschód Bożenarodzenie. Te dwa święta Zachodu i Wschodu są *jednym* czcigodnym pomnikiem jedności, która wówczas panowała między obu Kościołami, a której odżycia tak jesteśmy spragnieni — po tysiącletnim oddzieleniu. Jedności mimo wszelkiej różnicy w pojęciach i uczuciach.

Okoliczności historyczne, które z tych świąt uczyniły jakby zdwojenie, pozwolą nam zrozumieć w czym są one odrębne i poradzą nam rozwiązać trudności, wynikłe z ich podwójnego zastosowania.

Dla nas, ludzi Zachodu, święto Bożegonarodzenia wyda się zawsze ważniejsze od Epifanii, mimo że to ostatnie jest wyższe znaczeniem. Bożenarodzenie jest i pozostanie naszym świętem; Epifania obchodzi nas już nie tak blisko. Po czterech tygodniach, kiedy pożądanie Przyjścia w takim napięciu utrzymywało nasz umysł, Bożenarodzenie jest prawdziwie wypełnieniem Adwentu. Jednak należy przyznać, że ściślejsze jest pokrewieństwo myśli między Adwentem a *Epifanią*. Bożenarodzenie — to zamknięcie Adwentu. Wystarczy przebiec teksty Wigilii. Wciąż powtarzamy śpiew: *Jutro* grzech pierworodny zostanie zniszczony. Bożenarodzenie jest świętem Odkupienia. Musimy dopiero czekać aż do Epifanii, aby wypełniło się chwalebne Przyjście Króla: — a ta myśl dominuje w Adwencie.

Zresztą Bożenarodzenie i Epifania nie są prostymi powtórzeniami, zdwojeniami. Kościół Zachodni przejął od Kościoła Wschodniego jego święto z całą duchową zawartością orientalną i rozwinął je według praw własnego geniuszu. Użyźnił je i wzbogacił wspaniale. Wzniósł się spojrzeniem ponad wąski krąg historyczny narodzin Pana aż ku perspektywom królewskości Chrystusa panującego nad czasami. Adwent Zachodu i jego Bożenarodzenie zyskały na tym rozszerzeniu widoków. Wreszcie oba święta stały się uroczystościami zróżniczkowanymi, o niezależnym przedmiocie i wewnętrznym rozwoju. Od tego czasu mamy jakby analogię z cyklem wielkanocnym. Na Wielkanoc słońce Zmartwychwstania wznosi się i oświeca świat lśniącymi promieniami. Na Zesłanie słońce jest już u swego południa, jego ciepłe światło stwarza życie i obfity urodzaj. Na Gwiazdkę słońce Narodzenia wznosi się nad dolinami Betlejem, a w Epifanię „chwała Pana" promienieje nad Jeruzalem. Na Bożenarodzenie rodzimy się i odradzamy z Chrystusem naszym bratem, w Epifanię zaś Chrystus święci wraz z Kościołem i duszą Swe mistyczne gody weselne. Na Gwiazdkę „Chrystus *nam się narodził*", jest to jakby serdeczne, poufne święto rodzinne, w którym uczestniczy tylko niewielu wybranych z Marią i pasterzami: na Epifanię „Chrystus *nam się objawił*", to znaczy: zamanifestował Swoje objawienie światu.

Te dwa całkowicie oddzielne święta tworzą pierwszą i drugą uroczystość. Bożenarodzenie posiada wigilię, należącą jeszcze do Adwentu oraz oktawę, która coprawda dopuszcza inne święta (np. św. Tomasza, św. Sylwestra), a zamyka się świętem niezależnym: Obrzezaniem Jezusa Chrystusa. Szczególną cechą tego okresu są trzy święta *dołączone* — św. Szczepana, św. Jana i św. św. Niewiniątek. Niedziela w oktawie zaś ma swój odpowiednik w niedzieli w oktawie po Epifanii, ale pierwotnie służyła jako przejście do Epifanii.

Również Epifania posiada wigilię. Oktawa Epifanii jest uprzywilejowana i nie dopuszcza świąt niższego stopnia, co nie przerywa skupienia i pozwala na pełne wymyślanie się w Tajemnicę. Nie tak dawno ustalono na niedzielę po Epifanii święto Najśw. Rodziny. Starożytna i bogata w myśli Msza tej niedzieli została przeniesiona na jeden z dni tygodnia. Odrodzenie liturgii niewątpliwie spowoduje, że ta niewłaściwość zniknie.

Dom Pius Parsch

(Przekład z francuskiego tłum. 4 tomowego dzieła Dom Parscha p. t. „Le guide dans l'année liturgique").

KOLĘDY STAROPOLSKIE

O NAJWYŻSZY PANIE!

O Najwyższy Panie!
Waleczny Hetmanie!
Zwyciężonyś, mając rączki
Miłością związane.

Leżysz na tym sianie,
Królu nieba, ziemie,
Jak Baranek na zabicie
Za moje zbawienie.

Pójdź do serca mego,
Tobie otwartego,
Przysposób je do mieszkania
I wczasu swojego.

Albo mi daj Swoje,
Wyrzuciwszy moje.
Tak będzisz miał godny pałac
Na mieszkanie Twoje.

(Fragment kolędy „Jezus malusieńki").

X. JÓZEF TADEUSZ MILIK

PUSTYNIA I PASTERZE

JEZUS z Nazaretu, założyciel religii chrześcijańskiej, urodził się między siódmym a czwartym rokiem przed początkiem naszej ery, w Betlejem, położonym 8 km. na południe od Jerozolimy, w czasie spisu ludności, ogłoszonego dla celów podatkowych i kontyngentalnych przez Cesarza Augusta. Według historycznie wiarygodnego przekazu Łukasza, autora trzeciej Ewangelii, miejsce narodzenia, prawdopodobnie grota, znajdowało się poza miastem, okresowo przeludnionym, co było wynikiem specjalnego charakteru sposobu rejestracji, opartej nie na zasadzie aktualnego miejsca zamieszkania lecz na zasadzie miejsca pochodzenia rodu. Było to, nawiasem mówiąc, znakomitym świadectwem elastyczności biurokracji rzymskiej, przystosowującej się bez trudu do żywotnych instytucji i przyzwyczajeń socjalnych społeczeństw prowincji wschodnich Imperium. Niecodzienny fakt i niezwykłe okoliczności narodzenia zwróciły najprzód uwagę pasterzy, przebywających w owych okolicach na wypasach letnio-jesiennych.

Tyle o Narodzeniu Chrystusa Pana powiedziałby historyk w oparciu o dokumenty historyczne, chrześcijańskie, żydowskie i grecko--rzymskie, z pierwszego i początku drugiego wieku po Chr. Historyk, dodajmy, który a priori wyklucza, co najmniej metodycznie, możliwości interwencji świata boskiego w sprawy ziemskie. Historyk jednak, jeżeli wierzy i to nie tylko „poza godzinami urzędowania", tym bardziej zaś każdy prawdziwy wyznawca Chrystusowy, odniesie się z pełnym zaufaniem do wszystkich bez wyjątku szczegółów opowiadania ewangelicznego. Pawłowe „*pozdrawia was Łukasz, lekarz najmilszy*" (Kol. 4,14) brzmi wzruszającą zachętą do jak najczęstszego powracania myślą i sercem do dziejów i nauk Zbawiciela, spisanych przez niego, szczególnie zaś do najbardziej łukaszowej części Ewangelii Łukasza: dwurozdziałowego wstępu, zwanego Ewangelią Dzieciństwa. Wypadki cudowne towarzyszące Narodzeniu: — poselstwo anioła, światłość nieziemska, widzenie zastępów niebieskich — i treści, zawarte w słowach Posłańca i kontaktu aniołów, mówią o rzeczywistościach bardziej rzeczywistych niż rzeczywistości czysto ludzkie. Skontrastowanie i sharmonizowanie z ziemskimi okolicznościami Narodzenia, jednoznacznie określają, już teraz, 30 lat przed rozpoczęciem głoszenia Dobrej Nowiny, boskie pochodzenie i przeznaczenie, istotę odwieczną i obecną, misję przyszłą Nowonarodzonego.

Ograniczmy się jednak w niniejszym rozważaniu wyłącznie do przyjrzenia się pierwszym świadkom Przyjścia. Sam tekst ewangeliczny jest bardzo dyskretny i powściągliwy. Mówi o faktach. Pozwala się tylko domyślać myślowych i uczuciowych reakcji uczestników. Nie wyraźnym komentarzem lecz arpeggiami sugestii delikatnych, domagającymi się współbrzmienia w duszach bezpośrednich i odległych w czasie odbiorców Dobrej Wieści, wskazuje Ewangelista możliwości pogłębiającego zrozumienia znaczenia udziału osób okoliczności, wypadków i słów-scenariusza i tekstu-Boskiego Dramatu.

Spróbuję zatem wniknąć w religijną mentalność bezpośrednich słuchaczy przepowiadania ustnego Ewangelii św. Łukasza. Pierwotna katecheza była, rzecz oczywista, językowo semicka (aramajska), geograficznie palestyńska. Głosiciele i słuchacze jej wychowani byli w religijnym i literackim klimacie ksiąg Starego Testamentu i reakcje ich nimi były uwarunkowane. A przez greckie tłumaczenie pism Starego Przymierza również i poza-palestyńscy i poza-żydowscy wyznawcy Chrystusa Pana, dzięki samej katechezie ustnej i spisanej, użytkowi liturgicznemu Biblii, osobistej lekturze, wchodzili w świat doktrynalnych pojęć i ujęć wizualnych obrazów i schematów Ksiąg świętych. Zobaczmy więc (jest to, nota bene, próba dotąd nie podjęta nawet w literaturze naukowej, przynajmniej według mojej orientacji), jaką wymowę teologiczną, w sensie zaznaczonym, mógł mieć dla pierwszych chrześcijan, członków gminy macierzystej w Jerozolimie, gmin palestyńskich i hellenistycznych, fakt i okoliczność obecności pasterzy przy Narodzeniu. Uda się, być może, w ten sposób wskazać możliwości i dla nas, dzisiaj, głębszego zrozumienia i pełniejszego przeżycia cyklicznie powracającej liturgicznej tajemnicy Narodzenia Bożego.

W PUSTYNI...

Zaraz za Betlejem rozciąga się ku wschodowi i południu kilkudziesięciokilometrowa pustynia. Choć są na niej i bezpłodne wzgórza wapienne pustyni Judzkiej, — tereny równinne, doliny, wąwozy i wadi doskonale się nadają do wypasu owiec i bydła. własność osiadłych mieszkańców przyległych miejscowości lub, więcej i częściej, wędrownych plemion nomadów. Więc nie pustynia w potocznym odczuciu tego słowa. (obrazy Sahary, Kalahari, wnętrza półwyspu arabskiego, Gobi), lecz step, tylko w okresie najgorętszym, i to nie wszędzie, spopielony i bez wegetacji przez resztę roku, jednak zwłaszcza w porze deszczowej i na wiosnę, bujny trawą i barwny kwieciem.

Współczesnymi nam następcami ewangelicznych pasterzy są beduini Taamire, (sławni z odkrycia Groty Manuskryptów przy Morzu Martwym). I dla nich, prowadzących tryb życia od kilku tysięcy lat prawie niezmieniony na tych terenach, Betlejem jest bezpośrednią stolicą pasterską, miejscem periodycznych wędrówek, spotkań, zakupów i sprzedaży.

Analogiczny geograficznie i klimatycznie pas pustynny, przejściowy między terenami uprawnymi, „Żyznego Łuku" (dorzecze Eufratu i Tygrysu, Syria-Palestyna, Nil) a prawie bezpłodnym wnętrzem pustyni Syryjskiej były kolebką, miejscem wegetacji i terenem wędrówek przodków narodu izraelskiego, Hebreów. W szerszym znaczeniu etnicznym i socjalnym, znani są oni nieźle również i z dokumentów klinowych, kananejskich i egipskich od końca trzeciego tysiąclecia przed Chr. Wahadłowym ruchem przesuwają się periodycznie patriarchowie od Harranu do Syrii po Deltę Nilową, przesuwając się w Palestynie słabo zamieszkałym i rolniczo mało wydajnym pogórzem centralnym; uzależnieni od mniej więcej ustabilizowanej ówczesnej konfiguracji geograficznej i swej nomadycznej struktury społecznej, narażeni na nieprzewidziane sytuacje gospodarcze (np. klęski żywiołowe) i polityczne (wyprawy wojenne, razje...). I właśnie te obszary pustynne były miejscem spotkań patriarchów z Bogiem. Pylne szlaki 2.300 km. od Ur przy zatoce Perskiej do ziemi Goszen w Egipcie oznaczone są w Biblii drogowskazami wezwań Bożych, teofanii i objawień Najwyższego, rozmów i umów Boga i klanu przeznaczonego do wielkich spraw, na „itinerarium sacrum" Abrahama, Izaaka, Jakuba i Józefa, podatnych narzędzi ludzkich w rękach Boga, realizujących stopniowo zbawcze plany w stosunku do człowieka.

Egipskie intervallum kilkusetletnie przymusowej stabilizacji kończy się, wśród nieprzerwanego crescendo znaków Bożych, nawrotem do społecznie prostej a religijnie pewniejszej fazy nomadycznej bytu przodków.

Na półwyspie Synajskim i w Transjordanii dokonują się najistotniejsze dla Narodu Pierworodnego wydarzenia, strukturalnie podstawowe konstytucje religijne z Objawień boskich na Synaju i narodowo scalające w perypetiach pustynnych. Incydenty niewierności uczestników tych transcendentalnych zdarzeń boskich i ludzkich tak mocno podkreślane w historycznych opisach Pentateuchu a często też przypominane w katechezie szkolnej po powrocie z niewoli babilońskiej, malały i bladły w pamięci odległych w czasie mężów Bożych, wobec przejmującego wewnętrznie w przeżyciu mistycznym i teologicznym najgłębszego sensu faktów z pustyni.

Gdy w połowie 9 w. kulturalne i religijne wpływy Fenicji groziły zniszczeniem wiary objawionej, Jahwe powołuje Eliasza do dzieła prorockiego odnowienia religii. I on, jak przed czterema stuleciami Mojżesz, przemierzył pustynię, karmiony chlebem niebieskim, by spotkać się z Bogiem na tejże górze świętej Horebu. Tym razem jednak nie rozpoznaje Boga w burzy niszczącej i trzęsieniu ziemi i w ogniu — zewnętrzne znaki obecności Bożej w teofaniach synajskich — lecz w życiodajnym powiewie wiatru: Jahwe nie jest już, po kilkusetletnim rozwoju religii mozaistycznej, w pierwszym rzędzie nieubłaganym stróżem wierności klauzulom Przymierza i surowym sędzią dla łamiących jego prawa, lecz przede wszystkim dobroczynnym Zbawcą i dawcą Życia.

U współczesnego prawie z Eliaszem, drugiego z kolei proroka-pisarza Ozeasza, czasy mesjańskie są przedstawione jako powrót do epoki zaślubin Jahwe z Narodem w czasach pobytu na pustyni:

Dlatego Ja ją uwiodę i uprowadzę
na pustynię;
przemawiał będę do jej serca...
A ona mi odpowie tam jak w
dniach swojej młodości
i jak w czasie, gdy wychodziła z
ziemi egipskiej. (Oz. 2, 16-17).

I gdzie indziej: „*Znowu ci zamieszkać każę w namiotach*".

Ideę religijną i motyw literacki podejmie znacznie później autor „Pieśni nad Pieśniami", językiem poezji miłosnej opisujący eschatologiczne zaślubiny Boga z Nowym Izraelem, gdy każe chórowi śpiewać (3,6) nawidok zbliżającego się Oblubieńca: „*Któż to nadciąga z pustyni, jakby kolumna dymu, pachnącą mirrą i kadzidłem...*"

Wypadki pustynne, w sensie wyższym i duchowym, powtórzą się u Kresu Dni i według wizji Izajasza: „*Oto uczynię cud nowy... wytrysnąć każę wodom na pustyni, strumieniom z ziemi wyschłej*". (43, 19.20). Wybawieni przejdą mistyczną pustynię w triumfalnym marszu, poprzedzani dzień i noc przez Jahwe (42,12). Królewski pochód Boga po pustyni obwieszczać będzie, bieżąc przed nim, Herold wybrany (40,3).

Podobne teksty natchnione znajdują się u Jeremiasza, Ezechiela, Zachariasza. Historyczny opis powrotu z Babilonii w księdze Ezdrasza również zawiera rysy pierwszego Exodu. A zatem początkowe fazy eschatologicznej ery Odkupienia i Wybawienia powtórzą, w sensie jednak nie zewnętrznym lecz duchowym (Jeremiasz, Ezechiel) i przewyższającym „nowymi cudami" „zdarzenia z przeszłości", wyjście z domu niewoli, przejście przez pustynię, wejście do Ziemi dziedzictwa wiecznego.

Podobne teksty natchnione znajstas Dei per homines" na pustyni i rzutując je w mesjańską przyszłość chwalebną nie zachęcali bynajmniej do materialnego powrotu do typu życia sprzed wieków i bezpowrotnie minionego. Oni myśleli o wewnętrznych dyspozycjach religijnych i moralnych człowieka i o duchowych realizacjach zbawczej ekonomii Bożej w epoce Wypełnienia. Wyidealizowana wszakże przeszłość życia na pustyni wypędzała wielu z miast na pustkowia, kazała mieszkać pod namiotami. W czasach Jeremiasza istniały już tego rodzaju skupienia pobożnych, zwących się lub przezywanych Rechabitami.

Ujęcia i tendencje podobne odżyją po kilku, dokładnie czterech, wiekach, gdy nieodparcie, zdawałoby się, wzrasta narodowo i religijnie

---

SIOTRA TERESA Z LISIEUX

Przełożył TOMASZ DOBROWOLSKI

Pieśń pasterzy przy żłóbku

FRAGMENT

Słowo, któreś Ojca chwałą!
Twój Majestat widzimy w niebie.
Gdyś postać śmiertelną przybrało
Na ziemi znaleźliśmy Ciebie.
Dziecino, Twój blask opromienia
Aniołów na niebios dworze.
Przyszedłeś dla świata zbawienia,
Któż miłość Twą pojąć może!

Gdy na padole płaczu
Zapłonął Skarb Jedyny,
Aniołów loty znaczą
Ślady Bożej Dzieciny.
Za Tobą płyniem w niziny,
Otulim Cię swymi skrzydłami
I drogę wyścielim kwiatami
Pod Twe bose nożyny.

Pozwól, a z gwiazd lśniących,
Zrobimy Ci kołyskę
I firaneczki błyszczące
Ze śniegu bieli czystej.
Pozwól, a gór wierzchołki
W gładkie zrównamy płaszczyzny
I zasiejemy pomiędzy fijołki
Kwiaty z niebieskiej Ojczyzny.

— — — — —

Kwiat Boży jest uśmiechem.
Wiecznego szczęścia echem.
Pieśnią liry niebiańskiej,
Trzymanej Ręką Pańską.
Tony melodii czystej
Z dobroci Stworzyciela
Głoszą chwałę wieczystą
Boga Odkupiciela.

Dźwięków harmonie,
Kwiatów wonie,
Melodii tony —
Płyńcie do Boga tronu!

Znamy Twe kwiaty żywe,
Ku którym gonisz spojrzeniem.
Rzuciłeś niebo szczęśliwe,
Aby im przynieść zbawienie.
Dusze są tymi kwiatami,
Ku którym wyciągasz ręce,
One przez Ciebie zasiane
I za nie zginąć chcesz w męce.

Tajemnico serdeczna!
Słowo Odwieczne
W cierpieniu cierpliwe
Zbierze swych kwiatów zniwo.

Przy Twoich, Panie, ołtarzach
Jest nasze miejsce w przyszłości.
Modlitwy złożym Ci w darze
I hymn gorącej miłości —
Dla Boga, który w tej chwili
Zbawienia bramy odmyka;
Dla Chleba, który posili
Znękaną duszę grzesznika.

Gdybyśmy mogli przez cud niepojęty
Żywić się Chlebem Pokoju!
Gdybyż i naszym napojem
Mogła być kiedyś Krew Święta!...
Przynajmniej rozpalać miłością
Ludzkie nam dusze potrzeba,
Aby bez lęku, z ufnością
Śpieszyły do Pana Nieba.

rozkładowy napór kultury greckiej. I tym razem pisarze natchnieni, już bliską realizację epoki dnia Boga opisując, używają religijnych, i literackich schematów pierwszego Exodu i pobytu na pustyni. Tym też razem wśród wiernych wykonawców Prawa rodzą się specyficzne ruchy religijno-narodowe, obecnie jednak wykrystalizywujące się w typowe ugrupowania monastyczne. Są to chasidim z początków epoki machabejskiej, późniejsi nieco „Przymierzowcy” — w swej fazie palestyńskiej, znani z tekstów, znalezionych nad Morzem Martwym w 1947 a z okresu przebywania pod Damaszkiem z dokumentu, znalezionego 50 lat temu w Kairze, — bezżenni Esseńczycy o niezwykle ostrej religii życia, kontemplacyjni terapeuci z eremów egipskich. Wszyscy oni uciekali na pustynię i tam samotnie lub zespołowo, wiodąc twardo zdyscyplinowane życie, przygotowywali się na nadejście Czasu, Dnia, Chwili. Niektóre ugrupowania, jak dwa pierwsze, zanikły nim przyszedł Oczekiwany, Esseńczycy zaskorupieli w wyniosłym ezoretyźmie „doskonałych”, jałowi fizycznie i duchowo.

Jeden tylko ruch pustynny, eremicko-monastyczny, doczekał się szczęścia oglądania Zbawiciela i wejścia do Królestwa Niebieskiego. Jan, syn Zachariasza udał się dzieckiem na pustynię; „a dzieło rosło i umacniało się w duchu i przebywało na miejscach pustynnych aż do czasu ukazania się swego w Izraelu” (Łuk. 1,80). Słowa Izajasza: „Głos herolda: W pustyni gotujcie drogę Panu...” (40,3) wziął dosłownie. Na pustyni trzeba się przygotować na przyjście Mesjasza-Chrystusa. Różni się wszakże tym od poprzedników, że nie tylko siebie i uczniów, ale i innych przygotować się stara. Tak przecież należy pojmować rolę Herolda, Wieściciela nadejścia Zbawiciela, w tekście natchnionym Izajasza. A Heroldem jest właśnie on, Jan, jak mu Bóg objawił. Nie wystarczy też (co praktykowali w znaczniej mierze poprzednicy a i Johannici również) zewnętrzne i fizyczne „upustynnianie się” (ubiór nomadów i pokarm zbieracki). Trzeba się przygotować wewnętrznie, myślą i czynem, przez pokutę dla odpuszczenia grzechów, której symbolem jest sakramentalne obmycie wodą, przypominające wody Morza Czerwonego, których przejście poprzedziło bezpośrednio wejście na synajską pustynię Zbawienia. ...”*Stało się Słowo Pańskie do Jana, Zachariaszowego syna, na pustyni. I przyszedł do całej krainy Jordanu, głosząc chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów*” (Łuk. 3,3.4); „*Był Jan na pustyni, chrzczac i głosząc chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów*” (Mar. 1,4); „*A w one dni przyszedł Jan Chrzciciel, nauczając na pustyni Judzkiej i mówiąc: Czyńcie pokutę, albowiem przybliżyło się Królestwo niebieskie*” (Mat. 1,1.2).

W czasie jego opowiadania i obmywania wodą na pustyni przyjordańskiej „zjawił się pośród was, którego wy nie znacie”. Jan Chrzciciel Go poznał, dał świadectwo o Światłości, cieszył się, dziewosłęb Oblubieńca, głosem Oblubieńca.

Przy Narodzeniu podobnie było. Niemowlę-Zbawiciel zjawił się na świecie, urodził w grocie pustynnej; pierwszymi świadkami rozpoczęcia się epoki Zbawienia byli mieszkańcy pustyni, pasterze. Tekst historyczny narodzenia Chrystusa Pana swymi okolicznościami miejsca i otoczenia przypominał pierwszym chrześcijanom zamierzchłe zdarzenia, figurujące słabym refleksem zdarzenia ostateczne, przywodził na pamięć wizję proroków, ujawniał i rozradowywał, potwierdzeniem nieodpartym, inaugurację epoki mesjańskiej.

Ale została nakreślona narazie tylko *scena* faktów opowiedzianych przez Łukasza: pustynia i jej funkcja w religijnym myśleniu i w oczekiwaniu Wypełnienia. Z kolei należy powiedzieć o roli pasterzy wobec Boga.

Rzym, 5 grudnia 1950.

X. Józef T. Milik.

STANISŁAW VINCENZ

CZY WARTO?*)

KSIĄDZ kanonik Buraczyński, kościsty twardy staruszek o zatroskanym sennym obliczu, od pewnego już czasu ruchami i gestami wyrażał zamiary przemówienia. Zapewne uważał to za swój obowiązek. Wodził wzrokiem po obecnych, pukał znacząco w tabakierę. Już otwierał usta, tymczasem zażył tabaki, kichnął i znów ktoś mu wjechał z przemową. Gdy zaczęto wstawać od stołu, korzystając z przerwy, przemówił, a raczej mamrotał coraz pośpieszniej i niezbyt głośno jak gdyby czytał monotonnie.

— Tu nie kazalnica, ja wiem, ale przecie chrzciny. Listy z nieba, to dobrze, mój diak wam czyta, ja wiem, ja mu nie przeszkadzam — ale pamiętajcie, najstarszy list z nieba to chrzest święty. I list do nieba także. To najważniejsze, to jest tajemnica, a nie te listy ziemskie, co ludzie sami piszą, sami czytają, a rozpowiadają, że z nieba. W razie potrzeby, to słuszne, można ochrzcić z wody, to uznane, ale od czego cerkiew święta, kapłani, tajemnice, sakramenty święte?

Z powodu zamieszania słuchano go niewiele. Tanasij także już tymczasem wstał od stołu, od ciężkiego wina trzymał się na nogach niepewnie, lecz nie zaniedbywał okazji do repliki. Uśmiechając się dwuznacznie i mrużąc oczy spoglądał wytrwale jakby brał kogoś na cel.

— Ojcze nasz godny, wyście dobry jak chleb. Wyście najlepszy na świecie! I dlatego mądry. Ja nie wpoprzek, broń Boże. Sakramenty, tajemnice, to świętość święta, to od Boga. Ja nie z tych co haukają na chrzest święty. A przecie! Wcale nie zaszkodzi nikomu, ani żadnemu księdzu, kiedy ksiądz będzie mądry. Bo poco mają potem ludziska ćwikać w oczy biednemu chrześcijaninowi, jak to u nas jest pogaduszka: „ciebie durny ksiądz chrzcił.” To przykre. — Ja chrzczony, mnie nie potrzebne żadne pismo, ale to z nieba czemużby nie? Ja, skoro tylko posłucham pisma, to w tej chwileczce poznam czy to z nieba. Mnie nikt nie oszuka, ksiądz, pan, żyd, czy diak! A czemu? Bom chrzczony, to liczy się, że już odmarznięty i już przemoczony deszczem. Na moje wychodzi i na wasze także, wam ja ustąpię.

Kanonik Buraczyński otrząsał się stopniowo z drzemki.

— Człowiecze, to przecie nie dla mnie. To wasza własna skóra. Wy nie malutki, czytajcie sobie, nawet piszcie listy do nieba, a pamiętajcie o karbie głównym. —

Tanasij upierał się dla samego oporu:

— Ja nie piśmienny, nic nie piszę. Listy do nieba? A któż je pisze? Taki co szuka zarobku. Ja przeciw temu. Kto żebrze, kto nudzi Boga? Kot — miaukacz natrętny. Siedzi w trawie, słuchaj, czekaj na listy, jak ziemia na deszcz, same spadną. Tak i chrzest.

Dziedzic-kolator odpowiedzialnie i grzecznie poparł swego proboszcza:

— Tak, tak, kumie, to o chrzcie świętym koniecznie trzeba pamiętać, a dzisiaj szczególnie. I dobrze, że ksiądz kanonik nam przypomniał. A księża chyba nie mają urazy do gazdy? Od święta figluje, droczy się z nami, jednak myśli dobrze.

Tanasenko ciskał na prawo i na lewo szelmowskie żórawie, błyski tak samo wieloznacznie mieniące się jak przed chwilą tęczowe promyki słoneczne. Dla większej pewności w nogach oparł się o stół. Powiedział po namyśle, gdy zaczęto go słuchać:

— Dobrze myślę? Ha, ja myślę rozmaicie. Powiedźcie mi teraz, skoro mnie się wciąż czepiacie, czy warto wierzyć w Boga, czy nie?

Dziedzic zmieszany spoglądał na kanonika, kanonik wzruszył ramionami, ksiądz Pasjonowicz wychodząc odwrócił się od drzwi i mruknął złowrogo: „Macie!”. Tanasij oparł się mocniej o stół rękami, oglądał się po obecnych, czekał. Krząkano, zagadywano głośno niby to obojętnie, kto mógł wymykał się pośpiesznie za drzwi.

— Widzicie — kiwał głową Tanasij — nudzić Boga każdy potrafi, a kiedy przyjdzie próba, u każdego moja chata z kraju. Warto czy nie warto?

— Ależ, kumie — prosił zakłopotany dziedzic — nie w tym rzecz...

— Właśnie, że w tym. Nie odpowiadacie, to ja sam odpowiem. Zachodzi do mnie taki nieszczęsny dziadyga, rodem z Podgórza, mudrahełyk połatany, a kuty na cztery nogi. Dwadzieścia pięć lat trzymali go w kamaszach przy wojsku. Po wojnach nim szastali, Boże ty mój! Potem sam ciągał się po świecie, biedował. Językami różnymi bełkoce jak cała baszta babilońska, i co mu z tego? Biduje dalej, stary, samiutki bez rodziny, po wsiach garnki łata. Tyle zje co mu kto rzuci. Wzdycha czasem: „świat wielki a miejsca w nim nie ma”. Gęba bezzębna, a przekręcona na bok jakby się ciągle śmiał. Niesamowity.

Dziedzic przemógł się jeszcze i usiłował zagadać Tanasija.

— To który? Zapewne ten, którego nazywają łysy Pańcio?

Tanasij zniecierpliwił się.

— Wszystko jedno jak go zwą, nazywa się człowiek.

— To biedny człowiek — ciągnął dalej dziedzic — trzeba by mu pomóc. Ostatnio wciąż choruje.

Tanasij przerwał.

— Najważniejsza pomoc taka, posłuchajcie! Powiada mi on raz prosto z mosta: „he, he, he! Boga nie ma, bo jakby był, to tego by nie było i tamtego by nie było. A może wy nie wiecie — mówi — jakie Dziwo kudłate trzyma świat na rogach?” Zatkało mnie. Ale trochę później znów odetkało. Zajeżdżam ja tak temu bezbożnikowi żałosnemu: „Wiedzieć to wiem, ale ja wybrałem i tyś wybrał. Jest chrzest,na świętym chrzcie słowo rzekłeś Bogu, wyrzekłeś się czorta, a teraz kasujesz. Jakżeż tobie chrzczonemu nie wstyd takie słowa wypuszczaś z gęby?” A on śmieje się, po psiemu szczerby szerzy i huka: „He, he, he, wstyd? A może pamiętacie, jakeście na chrzcie obiecali? Księża wymyślili to wszystko, a ojciec chrzestny, wódką ugoszczony, księdzu dał słowo. „Zatkało mnie na dobre. Cóż ja durny wiem? Ten jeden raz, prawda, pożałowałem, że nie znam pisma, może bym mu z pyska wyrąbał jego haukanie. Teraz on mnie zajechał! Spać mi nie dawało: któż wie jak to jest? Do naszego księdza czy do was pójść, wstyd mi jakoś. Dopiero, kiedy mi wasz diak list z nieba do serca przeczytał, zaszumiało mi wino. Poczekaj, ty hauczaku! Spotykam dziadygę na rozdrożu, ciągnę do chaty, mówię mu krótko: „List z nieba czytałem.” A jemu to nic, znów po psiemu zęby wyłamane szczerzy: „He, he, he,! listy z nieba? te co diak Kropiwnicki sam pisze i sam czyta? A ileście mu dali za to?” A ja mu: „Breszesz! nic nie dałem. Ale dam, abyś wiedział, on wart. — Za swoje szczekanie będziesz na sądzie ostatecznym zgrzytać tak głośno jakby się skały kruszyły.” — Dziad stawia się: „Głośno? jakimiż zębami? U mnie same szczerby.” „Nie bój się — mówię mu — zęby ci z psa wstawią, to jeszcze głośniej”.

Tanasij usiadł ponownie, oglądał się za szklanką naprożno, machnął ręką, wywodził dalej:

— „Z listem ja już mocny i tak objeżdżam dziada. Teraz zamruż oczy, dziadu, paździokaj sobie do rana: Boga nie ma. Dobrze, nie widzisz go? I ja ślepiec, dopóki wino we flaszkach zamurowane. Ty, mówisz, Boga nie ma, bo to i tamto piecze ciebie zanadto? A mnie może nie? A no, pochłeptaj Listu? zaszumi ci, zmiarkujesz co mnie i ciebie trzyma, otworzysz oczy. Gdyby Boga nie było, wtedy i to i tamto byłoby jeszcze gorzej. Przepaliłoby ciebie i mnie na wskróś. Rozsypałbyś się i do progu byś nie doczłapał.” Już i jego zatkało, zadumał się, potem pytluje trochę ciszej: „A niechbym się już rozsypał! Dla was to dobrze wychodzi, wy gazda, szczęśliwiec, ale dla mnie?” — A ja jemu czwórką zajeżdżam: „Jeśli Boga nie ma, to ja nie gazda, nie Urszega, tylko złodziej koński, rzeźnik koński, łajno!” „Tak mówicie? — skowyczy znów nieszczęśnik jak bity pies — jeśli Bóg jest, to wam dał gazdowstwo a mnie tak, żem połatajka, żebrak na wieki.” „Breszesz! — powiadam — Bóg jest i z tego wychodzi, że na dzisiaj tyś połatajka na próbę, a jutro możesz byc cesarzem, też na próbę. I jutro co? Sam cesarz z Wiednia przyjdzie tutaj garnki łatać. Także na próbę, zobaczymy wtedy jaki on cesarz! Ja do próby gotów! dzisiaj gazda i w żebractwie gazda i pod szubienicą też gazda, bo Bóg jest. No, teraz powiedz, warto wierzyć w Boga, czy nie warto?” Dziad, — tak samo jak wy wszyscy teraz — wywalił jakoś język jak wisielec, a ja przyciskam go aż skwierczy: „Gadaj uczciwie, co tracisz wierząc w Boga?” „Co tracę? — wzdycha dziad — co ja jeszcze mam do stracenia?” I wtedy on już u mnie w torbie. „Słuchaj — powiadam — gdyby Boga nie było, to każdy z nas wieprz, gorszy od wieprza, a jeśli jest, to co tracisz? wieprzową mordę! Tyle straty twojej i mojej. Warto czy nie warto?” Dziad westchnął: „Może i warto — ”. „Widzisz — powiadam mu a już mi wstyd, żem wyjechał na Papę-rymskiego, na całe Żabie — kiedy masz coś takiego przeciw Bogu, zaraz przychodź tutaj, choćby w nocy.” Dziad do picia nie skory, a wtedy pociągnął sobie razem ze mną. Nakarmiłem go, napoiłem jak podświnka. Przespał u mnie na piecu do południa, gęba mu się trochę rozkręciła.

Tymczasem wyszli wszyscy prócz kanonika, Maksyma, dziedzica i pana Jakobenca. Wstawali, wychodzili powolį. Ksiądz Buraczyński rad, że pozbył się kłopotu nauczania, przyjaźnie klepał Tanasija po ramieniu:

— Dobrze, Tanasenku, sami widzicie, chrzest święty ratuje człowieka i was podtrzymał. A tego bezbożnego zostawcie w spokoju. Przypędzi i jego, sam kiedyś przybiegnie do cerkwi.

Tanasenko krzyczał już zza proga, słaniając się odrobinę:

— Nie wpuśćcie go, to za prędko! Jeść dajcie, tak, ale do cerkwi zasię! Niech powącha głównego pieca, choć z daleka! Zobaczymy czy taki śmiały.

Ksiądz Buraczyński prostował zasiedziałe członki, jego zaspane oblicze rozpromieniło się. Przechodząc przez niskie drzwi, chyląc głowę i zginając potężną staturę pouczał:

— Nie, Tanasieju, kościół miłosierny. Psalmista Pański tak śpiewa: „Oko Boże jest na tych co ufają w Jego Miłosierdzie.”

Tanaseńko westchnął nabożnie, pochylił głowę. Pan Jakobenc też wyszedł przez drzwi. Wzniósł oczy do nieba, szyderczo a smętnie obliczał coś. Oglądał nos starannie, pociągnął nosem, cmoknął, odezwał się po raz pierwszy leniwie, powolutku.

— O, ksiądz poucza, księży interes, taj już! A wy ludzie? do cudzego interesu gadacie, gadacie... Po co? Jeszcze ktoś kiedyś podsłucha, przed ludźmi oczerni, w sądzie oskarży i będzie wam pouczenie, taj już!

Stanisław Vincenz

*) **Urywek z drugiego (niedrukowanego) tomu NA WYSOKIEJ POŁONINIE. Tom II ma tytuł „Nowe Czasy“ — akcja odbywa się około r. 1870. Rozdział p.t. „Czy warto?“ wyjęty z księgi drugiej p.t. „Listy z nieba“.**

T. S. ELIOT

Podróż magów

Zimna to była ta jazda,
Właśnie najgorszy czas
Na tę podróż, na tak długą podróż,
Głębokie drogi, srogi chłód —
Samiutki środek zimy.
Poodparzane i oporne wielbłądy
Kładły się w topniejący śnieg.
Nam samym żal czasami
Letnich pałaców na podsłonecznych stokach,
Jedwabnych dziewcząt i sorbetu.
A wielbłądnicy klną, narzekają
I uciekają od nas do kobiet i do wina,
Ogniska w nocy gasną, nie ma gdzie schronić głów.
I miasta takie wrogie i tak nieprzyjazne,
I te wioski tak brudne, ceny tak wysokie —
Trudna to była droga.
W końcu wolimy podróżować nocą
I spać dorywczo
Z tą ciągłą śpiewką w naszych uszach o tym
Że to wszystko nonsens.

Potem o świcie zjazd, poniżej linii śniegów,
W dolinę łagodną, mokrą, pełną wonnych drzew,
Gdzie wodny młyn bije ciemność w jakimś wartkim strumieniu,
Trzy drzewa na widnokręgu,
I biały, stary koń w galopie poprzez łąkę.
A potem jakaś tawerna z winną roślą nad drzwiami,
A w drzwiach otwartych sześć rąk rzuca srebrnymi krążkami,
I czyjeś nogi kopią puste bukłaki z wina.
A że nie ma informacji, więc dalej jedziemy
I wieczorem, ni na sekundę za wcześnie,
Znajdujemy t omiejsce, rzekłbyś, zadowalające.

Wszystko to było dawno temu, pamiętam,
I znów bym chciał tam jechać, lecz zawód,
Ten zawód:
Czyśmy jechali zobaczyć
Śmierć czy Narodziny? To były Narodziny,
Był zawód, niewątpliwy. Znam narodziny i znam śmierć,
Ale sądziłem, że są różne. Te Narodziny
To ciężki, gorzki dla nas ból jak Śmierć, nasza śmierć.
Wróciliśmy do naszych królestw, lecz niespokojni odtąd
Wśród obcych ludów, co biją czołem dawnym bożkom swoim.
Tak rad bym drugą śmierć zobaczyć!

PRZEŁOŻYŁ WIESŁAW PISARCZYK

JÓZEF CZAPSKI

S OSTROM [illegible]

ZE WSPOMNIEN

W PAŹDZIERNIKU 1942 roku armia Gen. Andersa, po opuszczeniu ZSRR ruszyła z Persji do Iraku. Co do mnie, po dłuższej chorobie w Meszhedzie, udałem się w drogę nie z Armią ale z paru kolegami pociągiem do Zatoki Perskiej, do Achwazu i Basry, a stamtąd znowu koleją do Bagdadu.

Niewiele pamiętam z tej drogi poza młodymi topolami w Sultanabadzie, i wrażeniem, którego doznałem po nocy w pociągu przez ostatnich parę godzin podróży przed Achwazem.

Już od świtu otaczała nas daleka przestrzeń pustyni. Miało się wrażenie, że tor kolejowy idzie po bezkresnym klepisku.

Jeden z braci Styków malował w znane w Polsce pejzaże pustyni. Pod niebem z ultramaryny ziemia była zawsze pomarańczowo-żółta. Dzięki tym obrazom wyobrażałem sobie pustynię jako szczyt krzykliwie kolorowej monotonii. Co za niespodzianki przeżyłem rozpoczynając od Persji!

Ile pustyń tyle różnych pejzaży. Bogactwo oświetleń, bogactwo gamy barwnej, zależnej od pory roku, pory dnia, różnic gleby i różnego jej ukształtowania.

Pustynie pomiędzy Meszhedem a Teheranem z wyrastającymi nagle z piaszczystej płaszczyzny, jak z morza skalistymi górami-rafami, to niebiesko-szarymi, to liliowymi, różowymi czy nawet cytrynowymi; pustynie piaszczyste Transjordanii, z setkami lekkich wielbłądów, kawowych, białych, chrupiących kolczaste nędzne krzaczki, albo dziesiątki mil równo zasypanych czarnymi kamieniami, tak że nic nie widać więcej, jak te kamienie czarne, zlekka nabierające fioletu i czerwieni o zachodzie. („Tu trzeba by Hitlera sprowadzić, niech te kamienie przerzuca!" — mówił nam za każdym przejazdem nasz dobroduszny kierowca, krakowianin, Pyszny. Był to najwyższy z możliwych, według niego, wymiarów kary).

Pustynie, po których błądził Mojżesz z narodem wybranym przez 40 lat, a któreśmy przebywali w 7 godzin, jadąc z Jerozolimy do Kairu jeepem, pokryte delikatnym lotnym białym piaskiem, nawiewanym w sypkie wzgórza (miało się wrażenie śniegu — przychodziła pokusa nart).

Nie mówiąc już o Iraku, gdzie widziałem te pustynie pokryte trawą, czerwonymi, liliowymi anemonami i niebieskimi ostami. Te osty u nas delikatne, nasycone wilgocią łąk, wyrastają tam w potężne krzaki zatory o blaszanych listkach i kolcach ostrych jak igły. Ta sama pustynia wysychała w czerwcu, a w sierpniu była już naga, w niektórych miejscach miała dziwnie pomarszczoną falistość, różowe stożkowate wzgórze, jak na księżycowym pejzażu. I jeszcze fatamorgany przesuwające się przed autem coraz dalej, fatamorgany przeczystych, nieistniejących tafli wód. Te pustynie w porze deszczów zamieniały się w bagniska bezkresne, unieruchomiające nas po obozach.

Niezapomniane światło wieczorami — delikatna biel namiotów na zawsze bezchmurnym pawim niebie, promienność, precyzja i urzekająca l o g i k a cieni i świateł, logika, która się tak nie narzuca w bogatym, zadrzewionym i zabudowanym pejzażu.

Pustynie są piękne jak morze i jak morze miewają kolory — to delikatnie szary „corotowski", to przypominający Renoira, tego właśnie z pejzażów morskich — gdzie delikatny b l e u c é l e s t e gra z cytrynowymi, różowymi tonami złotem i jedwabiami wyszywanej tkaniny.

Dojeżdżając do Achwazu, ta pustynia z ubitej i twardej gliny, rudoszarego koloru zrobiła na mnie wrażenie przygnębiające, bardziej nawet niż pustynia Karakum w Turkiestanie, gdzie przecież od czasu do czasu widziałem krzaki w rodzaju naszego jałowca, na nierównym, ciemnopiaszczystym gruncie.

Z okien wagonu widzę przy nielicznych stacyjkach wioseczki jak ruiny glinianych chałupek, przytym te typowo arabskie budy z ustawionych starych bidonów i resztek jakichś szmat.

Przed nędzną budą stoi kobieta z pierścionkiem turkusowym w nosie, w płomiennie czerwonej spódnicy. Ma ciężkie srebrne bransolety na brudnych, jędrnych nogach i rękach. To jedyny ślad estetyki, który tu dostrzegłem. Dzieci nędzne o ciemnej skórze, w nieprawdopodobnie brudnych, rozpadających się łachmanach, wyciągają chude, smagłe rączki, żebrząc. (Największa śmiertelność dzieci jest właśnie tam, w krajach otaczających Zatokę Perską.)

Achwaz, przerzutowa dla naszej ludności cywilnej baza, to koszary perskie, oddane do naszego użytku. Zastaję tam 1.700 ludzi, jadących do Indii i Afryki; 46% dzieci i młodzieży, 44% kobiet. To wszystko ludność cywilna, którą gen. Anders zdołał wyprowadzić razem z wojskiem z Rosji Sowieckiej. Już 8 tysięcy ludzi przepłynęło przez Achwaz, chorych było 135 i pomimo straszliwego klimatu, kończącego się ognistego lata, zanotowano tu tylko czternaście wypadków śmierci. Mówiąc o chorych pomijam nagminne choroby oczu (do 300 opatrunków dziennie); pono wszystkie te schorzenia przywieziono z Rosji. Leczy Polaków tutejszy lekarz wojskowy, Indus, o którym od personelu aż do biednych kobiet wiejskich, wszyscy mówią z najwyższym zachwytem, o jego miłosierdziu i oddaniu chorym. Taki szczery entuzjazm do Indusów lekarzy, Indusów pielęgniarzy spotykałem nieraz wśród polskich uchodźców; najmniej jakby wrażliwy na „subtelność" podoficer „morowiec" opowiadał mi o nich z nieśmiałym wzruszeniem, jakby chcąc ukryć wstydliwie zachwyt przed wyjątkową l u d z k o ś c i ą tych nigdy dotychczas niespotykanych, tak braterskich kolegów.

Upał jest jeszcze straszliwy, suchy ale ciężki, bo całe niebo zasłane szarą mgłą, tylko ta mgła to nie wilgoć, a nawisłe chmury kurzu. Ludzie, którzy tu siedzą od początku lata, śmieją się z naszych skarg na upał i twierdzą, że teraz już „zimno". Mówią mi tutaj, że to trzecie miejsce na świecie pod względem upału; nie wiem jednak, czy to jest ścisłe: (Pierwsze Aden, drugie Basra, trzecie Achwaz).

Zwiedzamy bazę. W kuchni 48 kotłów, w których się gotuje (na ropie) jedzenie dla tej rzeszy polskiej. „Anglicy dają bez rachunku, opowiada mi ze zdziwieniem młoda chłopka, Ukrainka spod Lwowa, aż 43 beczki pekelflejszu i słoniny". Przy uwijających się kucharzach widzę stos wielkich i bardzo długich ogórków, kupy fasoli. Ten dostatek, to temat wciąż powtarzających się rozmów ludzi, którzy tylko co opuścili Sowiety. Nasi wygnańcy, przeważnie kobiety wiejskie z dziećmi z kresów, mieszkają w długich, względnie świeżych gmachach. Czekając na wyjazd do Afryki, leżą na matach. Dzieci się bawią w wyjazdy statków, trąbią i gwiżdżą, naśladując syreny. „Proszę wsiadać... Już nie ma miejsca" — woła jeden z nich. Jest trochę palm, ale są niskie i robią wrażenie hodowanych, jak u nas w ogrodach. Dopiero w Basrze będę widział gęste haszcze wysokich palm tak pokrytych kurzem, że aż szarych.

Po obiedzie jest sjesta. Leżę w nieoddychalnym powietrzu, zlany potem okładając się do tego mokrymi ręcznikami, z których cieknie natychmiast nagrzewająca się i bez tego ciepła woda. Już o zmierzchu wychodzę się przejść, nie ku miastu, ale w kierunku przeciwnym, na to bezkresne klepisko pustyni. Horyzont ginie w szarym tumanie.

Po Meszhedzie, pięknych wzgórzach Siedmiu Sióstr, na które patrzyłem z okien szpitala, jak się wyłaniały nad miastem i nad bujnymi ogrodami szpitalnymi, po pięknym Teheranie u stóp dzikich gór z licznymi ogrodami, basenami, okolonymi cienistymi drzewami, tu nagle, w tej pustyni dotkliwie, namacalnie przypomina mi się późna jesień na Kresach, choć trudno mi nawet uchwycić dlaczego tu właśnie nam tę nagłą i tak silną asocjację — ale kiedy jest wieczór i droga prowadzi u nas przez rozległe, ginące we mgle szare ścierniska, jest także to poczucie dali, smutku i wielkiej ciszy. Mam złudzenie, że idę późną jesienią, we mgle, szeroką wyboistą drogą wśród szarych łąk i szarych ściernisk. Tu zamiast drogi kresowej, szeroka asfaltowana szosa. Też cisza późnej jesieni, którą przerywa od czasu do czasu nie skrzypienie chłopskiego wózka, zaprzęgniętego włochatym konikiem, ale warkot nieznany w kraju moich lat dziecinnych, warkot silników ogromnych aut przewożących robotników tubylców w łachmanach i dziwne, potężne, czerwone maszyny.

Wracam do bazy o późnym zmroku. Powietrze jest trochę mniej duszne, chociaż chmury kurzu zdają się jeszcze bardziej niskie. Na głównym podwórzu wśród koszar natykam się na tłum; pięćset do siedmiuset osób klęczy przed ołtarzem, takim samym jak wszędzie, gdzie tylko są Polacy — katolicy. Matka Boska z Lourdes, Matka Boska Częstochowska, sztandary polskie: nabożeństwo różańcowe.

Przeważnie kobiety w czerwonych chustkach w kwiaty, dużo dzieci. Monotonne szemranie zdrowasiek, litanii do Matki Boskiej, potem po kresowemu przeciągły, wysoki śpiew „Zdrowaś Maryja Jak pośród kwiatów wonna lilija" i dalej słowa wymawiane zawsze tak samo przeciągle, ufnie, słowa tak pełne treści, zrozumiałej, bliskiej każdej i każdemu w tym tłumie.

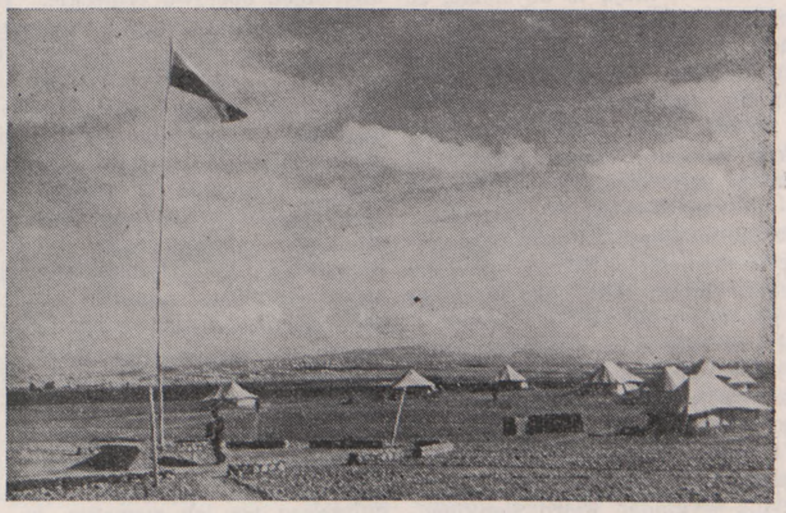
„Niech brak żywności nas nie zabija... proszą śpiewnie i namiętnie „i niechaj pożar dom nasz omija".

Potem idą inne pieśni, prośby do Matki Boskiej, by nas broniła od wojny, od zarazy i chorób, byśmy żyli w zgodzie. „Wszystkie nasze dzienne sprawy", „Pod Twą Obronę". Kończy się nabożeństwo w zupełną już ciemność. Rozświecony jest tylko ołtarz nad tłumem głów.

Wspomnienia, wspomnienia.

To samo szemranie zebranej gromady na wieczorowych, sobotnich modlitwach, odmawianych, gdy byłem dzieckiem, z całym domem w pokoju sypialnym rodziców. Modlitwy te odbywały się przed wielką Matką Boską z Lourdes, z malowanej blachy, do której co wieczór, klęcząc, przykładałem rozpalone po bieganiu czoło, bo blacha była zimna.

Jedno zdanie z tych modlitw dzieciństwa utkwiło mi w pamięci s ł y s z ę je i widzę nawet, w cienkiej książce, w skórę oprawnej i z wytłoczonym krzyżem. Książka modlitw w domu odmawianych, zapisana gęsto na bardzo pożółkłych i „wyczytanych" kartkach, wyblakłym atramentem, cienkim pismem mojej Matki, leżała zawsze na ołtarzyku w sypialnym pokoju Rodziców. To zdanie brzmiało: „Tą krwią najświętszą zalana jest — prawie i przesiąkła". Nie wiem dlaczego czytając tę modlitwę przerywaliśmy oddech p r z e d „prawie", a nie p o — i tak zostało mi w pamięci „prawie i przesiąkła". Kiedy widziałem w tułaczce



OBÓZ WOJSKA POLSKIEGO NA PUSTYNI IRACKIEJ (1943 r.)

sowieckiej te rzesze ludzi głodomorów, dzieci, kobiet spływających z krańców najdalszych tego kraju, zawsze znowu i znowu wracało mi zdanie, „tą krwią najświętszą zalana jest — prawie przesiąkła". Myślałem wtedy nie o „krwi Pańskiej" ale o ofierze krwi innej „nie tak świętej, ni wielkiej, lecz równie niewinnej".

Potem wspomnienia innej modlitwy, w najbardziej ponurym dniu mojego życia, jak z paru tysiącami oficerów przerzucano nas w Wołoczyskach przez granicę sowiecką. Migotliwe światło elektryczne, podłe, zniszczone brudne domki, profil Stalina z neonu, potem obora, czekanie godzinami na trochę zupy i to załatwianie się zupełnie otwarcie na podwórzu, tuż przed oknami niżej stojącej obory. Noc, zbity tłum ludzi, mróz, wrzaski i kłótnie przy otwieraniu i zamykaniu drzwi. „Nikt od smrodu nie zginął!". „Można się zadusić, widać chamy przywykli spać w chlewie!" Poczucie, że to nie ludzie, ale dzikie zwierzęta, pełne nienawiści wzajemnej, rozpaczy, goryczy. Nagle wtedy ktoś zaintonował:

„Pod Twą obronę, Ojcze na
Niebie..."

i ten sam tłum zaczął śpiewać, z takim podniosłym dziecinnym porywem, z taką dziecinną ufnością:

„Czy toń spokojna, czy huczą fale,
Gdy Ty swe dzieci w swej opiece
masz,
Wznosimy modły dziś ku Twej
chwale,
Boś Ty nam tarczą, Boże Ojcze
nasz.

Ale nie ta modlitwa rozpaczy, ale tamte z dzieciństwa wracały do mnie przede wszystkim, wśród modlitewnego szemrania i śpiewu wygnańców w Achwazie.

Nabożeństwo majowe. Modlitwy przed małą figurką gipsową, groszową, znów Matki Boskiej z Lourdes, przed kaplicą św. Jana Nepomucena w ogrodzie. Matka Boska była biała i tylko wstęgę miała namalowaną na niebiesko i różaniec srebrny, stała wśród wielkich bukietów osypującej się czeremchy czy jaśminów. Nie pamiętam pobożności w sobie, ani modlitwy, prędzej rozdygotany nastrój zmysłowej radości życia, po spacerach wiosennych, po najpiękniejszych łąkach i lasach, albo jak wracaliśmy spoceni po paru godzinach gry w tenisa, zbaczając do tej kapliczki w drodze na kolację.

Te modlitwy rozsiane w całym dniu, przez nas dzieci prędzej zwyczajowo niż mistycznie przyjmowane, weszły przecież w tkankę naszego życia, w którym modlitwa była codzienną normą, a religia naprawdę rdzeniem dzieciństwa.

Wówczas, pod szarym od piasku niebem, słuchając znowu różańca i litanii i znów tych pieśni przeciągłych i piskliwych, odczuwałem je jak wejście do swego domu, jak coś organicznie związanego z drogą przeszłością, z oddechem Matki, która cały rytm naszych dni tym religijnym stosunkiem do życia przepoiła; tak, że żadne zdrady czy ciosy, żadne sceptycyzmy, miesiące i lata oddalenia i oschłości nie zagłuszyły, nie przerwały tej świadomości, że wobec tłumu, który się modli najbardziej naiwnie i nawet „bezrozumnie" wszystkie rozumowania wydają mi się niewymierne i nie zdołają przekreślić nadziei wewnętrznej, a w pewnych krótkich chwilach życia w i e d z y, że Bóg jest i słucha tych modłów.

W ciemności, w tłumie, wobec oświetlonego ołtarza napłynęło inne wspomnienie i choć z książki tylko, silniejsze, niż wspomnienie niejednego „wielkiego" życiowego wypadku: ... Słuchaj wielkiej idei, był taki człowiek, który był więcej wart niż cała ziemia... i ten człowiek umarł na krzyżu i tak wierzył, ż e wiszącemu obok niego zbrodniarzowi powiedział, że będzie z nim jutro w raju. Obaj pomarli „i nie znaleźli raju i zmartwychwstania... Słuchaj, ten człowiek był najwyższy na ziemi, tym dlaczego ziemia warta jest istnieć. Cała planeta ze wszystkim co jest na niej bez tego człowieka to jedno szaleństwo; więc jeśli prawa przyrody nie ulitowały się nad Nim,... więc te same prawa planety są kłamstwem i diabelskim wodewilem. Dlaczego żyć, odpowiedz, dla czego żyć, jeśliś ty człowiek?" Te zdania strzępami, nieściśle, z dalekiej pamięci wracały tu do mnie w Achwazie. Tak mówił Kiriłłow w „Biesach" Dostojewskiego w żarliwej ekstazie, parę minut przed samobójstwem, wierząc, że wystarczy zniszczyć pojęcie Boga przez akt samobójczej samowoli, by ludzkość od Boga uwolniona stała się ludzkością szczęśliwą ludzi-bogów.

* * *

W ciżbie modlących się w dusznym mroku Achwazu, te wątki wspomnień krzyżują się i plączą z tym, na co patrzę pod niskim ciemnym niebem z piaskowej mgły.

Modlitwa w sypialnym pokoju rodziców lub przed umajoną kapliczką w ogrodzie, modlitwy szczęśliwe, modlitwa w Wołoczyskach, ratująca tysiące ludzi z dna rozpaczy i teraz modlitwa kilkuset kobiet w Achwazie wyzutych ze wszystkiego, którym dzieci z głodu pomarły, by Matka Boska broniła nas od głodu, modlitwa „by pożar nasz dom omijał" tych kobiet, którym pożar wojenny spalił wszystko i wyrzucił w kraj pusty, o którego istnieniu nawet nie wiedziały, modlitwa tak ufna i wierna, bez skazy wątpliwości w Boże miłosierdzie, wbrew umarłym z głodu i zarazy dzieciom, zakatowanym mężom i ojcom — te modlitwy rozsiane przez życie przeważały mój gorżki i próżny sceptycyzm. Wiedziałem, że życie nie jest „diabelskim wodewilem", że Bóg mówi do ludzi, którzy się modlą.

Józef Czapski

ALEKSANDRA POLESKA

ŚCIEŻKA OLBRZYMA

POWIEŚCI historyczne Sienkiewicza, a zwłaszcza „Quo Vadis", mają to do siebie, że umieją w sposób wszechwładny narzucić czytelnikowi wizualny obraz fragmentu przeszłości i to narzucić go z tak potężną sugestywnością, że od wywołanego obrazu nie ma zupełnie ucieczki. Jeżeli przychodzi nam na mysl Rzym starożytny, to — pomimo że znamy „rzymskie" sztuki Szekspira, autorów klasycznych i Irydiona — zawsze zjawi się naszym oczom taki, jaki wycisnął na naszej wyobraźni Sienkiewicz — biały od marmurów Kapitol, wonny od róż wieńczących stoły Nerona, wrzaskliwy od motłochu domagającego się krwi chrześcijan. Być może, a nawet prawie napewno, Rzym u progu ery chrześcijańskiej wcale tak nie wyglądał. Pióro Sienkiewicza, potęga jego narracji, przedstawiła go jednak takim właśnie i takim dla nas na zawsze już pozostanie.

Tłem ostatniej książki Parnickiego jest także Rzym, ale Rzym późniejszy, miasto Grzegorza V, Sylwestra II i Ottona III, stolica już nie zwycięska i bezpieczna, ale chwiejna i ciężko walcząca o utrzymanie swojej supremacji z nacierającymi hordami barbarzyńców i z rywalizującą potęgą niemiecką oraz zawiścią greckich bazyleusów. Nad takim Rzymem, jeszcze głośno proklamującym swoją wielkość, a jednocześnie gasnącym i łupionym przez obcych — ulatywać mógł duch Irydiona, aby sycić się obrazem dokonanej zemsty.

To miasto słaniające się ku upadkowi potrafiło jednak czarem swej kultury opętać więcej niż jednego człowieka. Pod urokiem Rzymu znajduje się sam Parnicki i on to wyposażył swych bohaterów w niewygasłą tęsknotę do jego murów. Autor jest tak dalece zafascynowany i przykuty urokiem wiecznego miasta, że wszystkie postacie powieści obracają się w orbicie tego magicznego kręgu. Począwszy od tych zlatynizowanych najeźdźców, co jak Tymoteusz mają się za jedynie prawych spadkobierców rzymskiej tradycji; poprzez Teodorę Stefanię, która dla miłości tego kawałka ziemi wzięła na siebie rolę ciężką i ohydną i stanęła przeciw ukochanemu małżonkowi, a za cherlawym cesarzem; aż do samego Ottona III, którego Rzym oślepił takim blaskiem władzy, że wyrywając go z objęć pustelni kazał ścigać jej marę aż do przedwczesnej śmierci u stóp Soracte. Nawet młody mnich irlandzki, późniejszy opat tyniecki wielebny Aron — potrafił zapomnieć o zielonych łąkach swojej ojczyzny na łonie Rzymu.

Jeden był tylko człowiek, który temu zgubnemu urokowi potrafił się oprzeć. Człowiek ten nosił tytuł „Patrycjusza Rzymskiego", nadany mu przez Ottona III, a oznaka tej godności „srebrne orły" — wyszyta była na czapraku, pokrywającym grzbiet konia, co szedł w pochodach triumfalnych Ottona tuż za cesarzem rzymskim narodu niemieckiego. Rumak dzwigający srebre orły stąpał bez jeźdźca, bo Rzymski Patrycjusz — ciemny barbarzyńca, siedzący w lasach nieprzebranych nad Wisłą — nie kwapił się do czarodziejskiego miasta, choć wzywały go tam usta papieża, cesarza i własnego syna.

Chrobry na początku książki jest prawie niewidoczny. Wspomina o nim niemiecka synowa Rycheza zaraz na wstępie, ze zniecierpliwieniem wielkim, że teść znowu odłożył wyjazd do wiecznego miasta. Potem następuje długi — mówiąc językiem kinowym — „flashback", w którym autor wtajemnicza nas w intrygi rzymskie, krzyżujące się pomiędzy papieżem, Ottonem i grą koterii politycznych. Chrobry ginie nam na długi czas z oczu i dopiero widzimy go znowu, kiedy wspomniany Aron, ksiądz irlandzki, ociągając się wielce jedzie do Polski, aby objąć opactwo tynieckie. Bolesław naprawdę staje wtedy przed nami i — pomimo szkicowości tej książki — potężne robi wrażenie. Domniemany barbarzyńca wyrasta na oczach w olbrzyma. Wobec niego ludzie splątani kłębowiskiem intryg nie więksi są od mrówek — z wyjątkiem może jedynego Jana Tefilaktosa, późniejszego papieża Benedykta VIII. Kuszeni łatwo demonem ambicji, mirażem władzy, chciwością pieniądza — rzucają się na łeb na szyję w desperackie walki i giną niepotrzebnie, aby w historii nie wiele więcej pozostawić jak tylko imię, które potem Parnicki z zapałem badacza otrząśnie z pyłu zapomnienia i wyposaży w życie bujniejsze niż ich ziemskie, bo w życie powieściowe.

Ścieżka Chrobrego jakże jest inna od rzymskich dróg! Ten człowiek niemal prymitywny i niewykształcony posiada nie tylko charakter, ale i geniusz polityczny. Z jego końcowej rozmowy z Rychezą wynika, że polski książę nie jest nieczuły na urok władzy i Rzymu, ale przezorność polityczna, sięgająca wyżyn jakiegoś heroicznego wyrzeczenia, i jakaś dziwna, jasnowidząca ostrożność kazała mu bronić się przed wyjazdem do wiecznego miasta. Chrobry jeden widzi to, czego oni nie dostrzegają: że za miraż sławy w dalekich stronach, za nasycenie próżnej ambicji zapłaciłby utratą istotnych prozaicznych korzyści, a tylko one się liczą, gdy chce się dokonać dzieła, co ma przetrwać polityczną koniunkturę. Więc zamiast wkraczać w triumfie do Rzymu na rumaku, przybranym srebrnymi orłami — skrzętnie nawraca nawpół dzikie plemiona pogańskie, cementuje je, aby się mogły przeciwstawić niemieckiej nawale; z pokorą i wysiłkiem zakłada fundamenty pod ten gmach, który potem miał się stać Polską.

Warto może zacytować kilka zdań z tej decydującej rozmowy Rychezy (która przy Mieszku odgrywa rolę zdradzieckiej Teodory Stefanii) z jej teściem królewskim, rozmowy podsłuchanej przez opata tynieckiego, jedynego z tych niewielu ludzi, co wielkość Chrobrego naprawdę rozumieli:

Bolesław wyjaśnia Rychezie, dlaczego ukląkł w Merseburgu przed Henrykiem jako przed swym panem lennym, dlaczego włożył swoje ręce w jego dłonie i niósł przed nim miecz do kościoła. Wszak nie miał w on czas tak dobrze wyćwiczonego wojska jak w parę lat potem.

—...„Głupcem byłem, żem jeszcze przed dwunastu laty nie ukląkł przed Henrykiem poto, by z jego rąk krainę czeską w lenno wziąć. Pobłądziłem, dumie przed roztropnością pierwszeństwo dając. Niewczesną pobłądziłem porywczością"...

—„Wydaje ci się, Panie Ojcze, że cokolwiek zechcesz zawsze osiągniesz".

—„Nie zawsze dziecinko. Wszak chciałem osiągnąć, by Czechy przy mnie zostały bez tego, iżbym kolano zgiął — nie osiągnąłem. Alem ci już rzekł, żem pobłądził wówczas. A gdy nie błądzę, osiągam wszystko, czego pragnę. A czy mam rzec ci dlaczego tak się dzieje? *Oto dlatego, żem zwykł pragnąć każdego dnia tego jedynie, co w dniu tym osiągnąc można*".

A potem wyrzuty Rychezy, że „nie pragnie być Rzymem".

— „Chcemy być Rzymem. Ale ileż namordować się trzeba, Rychezo, nim Rzymem będziemy. Rzym — to wiara święta, a iluż wśród nas jeszcze pogan?... Rzym — to potęga, a jam jeszcze korony królewskiej na skronie swe nie włożył. Rzym — to nauka i mądrość, a my ciemni. Rzym — to mowa wspaniała, myśl każdą wiernie oddająca, a oto ja po niemiecku, językiem wroga, do ciebie tu mówię, ażeby móc jakąś głębszą myśl słowem wiernie wyrazić"...

— „Wzgardziłeś srebrnymi orłami? Zawsze nimi gardziłeś!"

— „Nigdym nie gardził, Rychezo. Znak to miłości wspaniałej, jaką zapłonął ku mnie młodzieniaszek, rzekomo potężny, a w istocie nieszczęśliwy wielce, bo sam nie wiedzący kim jest: Grekiem czy Niemcem?"

— „Rzymianinem był".

— „Zwodzisz siebie. Majak za prawdę brał, jak ty i po nim. Tyle jeno w nim Rzymianina było, że rozumiał, iż majestat Romy to moc. Czcił moc. Płacząc, przywoływał ją do siebie. Zdobił ją. Moją moc srebrnymi ozdobił orłami. Nie odlecą ode mnie. Nie zmarnieją przy mnie. To nie szkodzi, że srebro na nich zblakło. *Nadal moc zdobią, choć zbielały*".

Bolesław nie przekonał Rychezy — jakże można przekonać kogoś, kto slogan polityczny bierze za rzeczywistość! Ale nie ukoronowany jeszcze król polski rozumiał, że pozwolić się wciągnąć w rozgrywki polityczne jak równy z równymi, kiedy jeszcze nie ma odpowiedniej siły, to znaczy roztrwonić to wszystko, co dotychczas potrafił skupić. Dumę swoją złożył na ołtarzu konieczności politycznej i polskiego interesu państwowego.

Jeśli powieści historyczne Sienkiewicza pisane były „ku pokrzepieniu serc", to powieść Parnickiego — jeśli można dziełu tak artystycznie skończonemu sugerować jakieś cele utylitarno-dydaktyczne — poczęta była chyba z myślą o pokrzepieniu umysłu Polaka. Chrobry — tak jak on go przedstawia — posiada tak niewiele z tych wad, które przyzwyczailiśmy się widzieć i ukazywać jako typowo polskie: próżność, pogon za poklaskiem, szeroki gest, łatwozapalność i brak wytrwałości. Balzac powiedział, że rozmach i brawurę Polaka można porównać do trąby powietrznej. Tak samo jest nagła, potężna, wszystko porywa za sobą, a potem ginie gdzieś i przepada w byle rowie. Chrobry tych wad nie posiadał. Był może raczej ciężki i pozbawiony błyskotliwości, a zresztą Parnicki wcale go nie idealizuje. Kazał przecież z zimną krwią oślepić Bolesława czeskiego dla względów natury politycznej i kazał to zrobić podczas uczty, łamiąc przysłowiowe prawo gościnności. Jednak postac jego mimo wszystkich wad i usterek przypomina pomnik, który stał przed katedrą gnieźnieńską, zanim go nie zwalili Niemcy. Krępy był i niewielki, miał twarde i żylaste ręce spracowanego kmiecia, mocno zaciśnięte na mieczu. W oczach utkwionych w dal, w cel sobie tylko wiadomy, malował się wielki upór, okrucieństwo nawet, surowa inteligencja i charakter.

Na początku wspomnieliśmy o Sienkiewiczu. Parnicki zrywa z tradycją sienkiewiczowską w tym, że wyłamuje się z ciasnego kręgu zainteresowań twórcy „Trylogii". Sienkiewicz brał historię wyłącznie z polskiego punktu widzenia — Parnicki pokazuje całość, wtapia nasz kraj w tło okresu historycznego, rozpoczyna od miejsca, w którym ogniskowały się nici ówczesnej polityki, pokazuje jak najdrobniejsza decyzja podjęta w stolicy świata wpływa na daleki polski zakątek. Nie oddala to wcale zagadnień polskich — przeciwnie; Parnicki tym nieomylniej potrafił trafić do naszych serc, że — pogardziwszy łatwizną emocjonalną — zaapelował przede wszystkim do intelektu. Sylwetka Chrobrego jest tak doskonale widoczna i tak w pełni występuje, że pokazano ją na tle wielkich zmagań i zatargów pomiędzy władzą świecką i duchowną, między licznymi intrygami, które w swoich lasach — oddalony o setki mil od wiecznego miasta — potrafił odcyfrować. Artystycznie tom drugi jest nieco słabszy od pierwszego i robi takie wrażenie, jakby przydługa introdukcja odebrała Parnickiemu pełny oddech na samo zakończenie. Tak jak teraz książka jest zbudowana to punktem kulminacyjnym jest koniec pierwszego tomu — spowiedź Ottona III przed irlandzkim księżyną. Mało jest w literaturze polskiej równie przejmujących scen, jak właśnie te zmagania duchowe młodego niedoświadczonego spowiednika z równie młodym, ale rozdartym i skomplikowanym wewnętrznie cesarzem. Ku przerażeniu księdza pod koniec spowiedzi Otto załamuje się i w potoku słów obnaża swoją duszę. Dowiaduje się, że on, najpotężniejszy z potężnych jest biedniejszy od ostatniego żebraka na Awentynie — bo jest tylko słabym dzieckiem, igraszką w rękach przewrotnej kobiety, która zdobyła nad nim władzę, gdyż potrafiła odkryć jego lęk przed samotnością.

Trudno o piękniejszy i bardziej pełny kontrast jak między cesarzem rzymskim, którego niszczą kompleksy z czasów dzieciństwa i płowym olbrzymem z nad Wisły, który miłując Ottona nie zechce przecież dla satystakcji cesarza „dosiąść posrebrzanego patyka" i udawać, że można nim zajechać do Rzymu. Równie doskonale przedstawiona jest postać Gerberta-Sylwestra II — który na duszy Ottona — wedle słów Bolesławowych — potrafił wygrywać jakąś melodię przedziwną, a może straszną. Domyślamy się tej melodii, co takim lękiem napełniła proste i wierzące serce Chrobrego — tej chęci, aby duchowa racja stanu i racja stanu polityczna stały się jednym w wznowionym rzymskim cesarstwie.

Jest jedna scena właśnie pod koniec pierwszego tomu, której tak łatwo nie da się zapomnieć. Po spowiedzi Otton udaje się na rozmowę z papieżem, a Aron — zmęczony wysiłkiem panowania nad krnąbrnym penitentem — zasypia w przyległej komnacie. W pewnym momencie budzi się i oszołomiony jeszcze narkotykiem swego sukcesu i narkotykiem, który dał mu papież na uspokojenie, słyszy jak Sylwester II wyczarowuje przedziwne dźwięki na organach i widzi twarz cesarza wyrażającą najwyższą ekstazę. Przed oczami Arona pod wpływem muzyki zaczynają się jawić przedziwne obrazy — te same, na które patrzy cesarz upojony. Ta scena — gdzie element muzyczny, widowiskowy i baśniowy zostały niemal po mistrzowsku stopione w jedno, tak że otrzymaliśmy całość aż niesamowitą w swym nierealiźmie — ta scena przez doskonałe oddanie szczegółów i wytrzymanie nastroju robi wrażenie, jak gdyby autor widział ją kiedyś istotnie i tylko wiernie opisał to, na co patrzył oczami ciała. Wielki Henry James, który był krytykiem równie przenikliwym jak i świetnym pisarzem, zwykł był powtarzać młodym pisarzom, co garnęli się do niego z zapytaniem, jak powinno się pisać: „pisać powinno się tak, aby czytelnik miał wrażenie, że autor rzeczywiście sceny przez siebie opisane widział". Im bardziej fantastyczna tematyka, tym większa chwała dla autora, jeśli potrafi pokazać swoją wizję intelektualną tak, aby czytelnik istotnie wierzył, że autor kiedyś na to wszystko, co opisuje, patrzył. Jeżeli kryterium wielkiego angielskiego pisarza jest słuszne — Parnicki odniósł tryumf równy bardzo niewielu polskim pisarzom, co porywali się na powieści historyczne. Chciałoby się prawie powiedzieć, że zwycięstwo jego było tak wielkie jak zwycięstwo Chrobrego nad pokusami światowymi, choć odniesione na innej płaszczyźnie. Zwycięstwo nad pokusą czczego gadania niepopartego żadną wizją intelektualną.

Powieść „Srebrne Orły" jest również gloryfikacją — nieświadomą być może — tryumfu umysłu i charakteru nad ludzkimi słabościami. Nieszczęśliwy Otto — szarpany wątpliwościami i obarczony patologicznym dziedzictwem grecko-germańskim — nie mógł się od swojej słabości uwolnić — być może nie ze swojej winy. Dlatego złote orły cesarskie przepadły i następcy jego zrezygnować musieli z marzeń i tęsknot odwiecznych uczynienia z Rzymu nowego ośrodka świata pod niemieckim przewodem. Chrobry pokonać swe apetyty potrafił i wyrzeczeniem się tworzenia legendy za życia — gmach ogromny dźwignął barami olbrzyma. I choć nigdy jako zwycięzca do Rzymu nie wjechał — marzenia wszystkich wielkich współczesnych nie zrealizował — to jednak dar cesarski — w tym jednym momencie historycznym, kiedy Niemiec podał rękę Polakowi — srebrne orły, choć zbielały „długo jeszcze moc zdobiły" narodowi od progu jego narodzin.

Aleksandra Poleska

PAMIĘTNIKI BOSWELLA

Swego rodzaju sensacją literacką zarówno w Anglii jak Ameryce jest odnalezienie i opublikowanie diariusza pisarza angielskiego z drugiej połowy XVIII wieku, Jamesa Boswella (1740 - 1795), którego głównym dziełem jest życiorys słynnego dr. Samuela Johnsona, jednej z kapitalnych postaci angielskich tego okresu. Pozostałe po nim papiery odkrywano stopniowo przez lat blisko trzydzieści od r. 1920 do 1949, w dosyć sensacyjnych okolicznościach, przypominających powieść detektywistyczną.

Zaczęło się to w r. 1920, kiedy profesor Tinker z Yale University w USA ogłosił w pismach, że planuje wydanie listów Boswella i prosi posiadaczy listów o skomunikowanie się z nim. W odpowiedzi otrzymał z Dublina pocztówkę z nieczytelnym podpisem, ze słowami: „Poszukaj w Malahide Castle". Okazało się, że właścicielem tego zamku jest lord Talbot, potomek Boswella po kądzieli. Odmówił on prośbie prof. Tinkera przeszukania zamku i dopiero w pięć lat później profesor został tam dopuszczony. Okazało się, że jest tam biurko mahoniowe, pełne papierów po Boswellu. Właścicielem ich stał się ostatecznie podpułkownik Isham, Amerykanin, który służył w armii brytyjskiej. Papiery te ukazały się drukiem w Ameryce w 18 tomach, stanowiących tzw. „wydanie prywatne" w ograniczonej liczbie egzemplarzy.

W r. 1930 w zamku Malahide znaleziono pudełko, zawierające dalsze papiery Boswella, a w r. 1940 dwie dalsze skrzynie. Materiał rozrósł się do tego stopnia, że podpułkownik Isham przekazał go uniwersytetowi Yale.

Niezależnie od tego prof. Abbott, wykładowca języka angielskiego na uniwersytecie w Aberdeen, znalazł w Fetterncairn House, rezydencji lorda Clinton, zbiór 1600 listów i rękopisów, przechowanych w skrzyniach, paczkach, workach i skrytkach, — wśród których znajdował się m. in. londyński diariusz Boswella, obecnie dopiero ogłoszony drukiem przez firmę Heinemann („Boswell's London Journal, 1762 - 1763", cena 21s.)

Diariusz ten pochodzi z czasu, gdy Boswell miał 22 - 23 lata. Zaletą jego jest absolutna szczerość i otwartość autora. Daje on wiele ciekawych danych, dotyczących życia Londynu w owym czasie.

JÓZEF JASNOWSKI

Z KSIĘGI ŻYWOTÓW POLSKICH

29 września 1900 roku odbył się w Londynie, w kościele na Marylebone ślub Konstancji Georginii Gore-Booth z polskim artystą-malarzem, Kazimierzem Dunin-Markiewiczem. Konstancja pochodziła ze starej, arystokratycznej rodziny anglo-irlandzkiej, osiedlonej od 300 lat w Irlandii. Pod przybranym owego dnia polskim nazwiskiem przeszła, w kilkanaście lat później, do historii odrodzonego państwa irlandzkiego, jako jedna z największych bojowniczek o jego niepodległość.

Kim był, jako człowiek i artysta, jej polski małżonek, Kazimierz Dunin-Markiewicz? W niniejszym artykule postaramy się odpowiedzieć na to pytanie, zajmuje się jedynie tym okresem jego życia, na który składają się lata pobytu w Irlandii.

*

KAZIMIERZ DUNIN-MARKIEWICZ urodził się 25 marca 1874 w Denhofówce, powiat kijowski. Po ukończeniu gimnazjum w Chersoniu zapisał się na wydział prawny uniwersytetu kijowskiego. Nie ukończył go jednak, udając się w r. 1894 do Paryża, dla rozpoczęcia studiów malarskich, do których okazywał uzdolnienia i zamiłowanie już od wczesnej młodości. W rok później ożenił się (pa raz pierwszy) z Jadwigą Spława-Neyman. Urocza małżonka, obdarzywszy go dwoma synami, zapadła ciężko na zdrowiu, musiała opuścić Paryż i powrócić do rodzinnych stron na Ukrainie, gdzie zmarła wiosną 1899 roku.

Rok ten był przełomowym w życiu i karierze artystycznej Markiewicza. W tym właśnie czasie jeden z jego obrazów, zatytułowany „L'Amour" a ilustrujący legendę o kwiecie paproci, kwitnącym tylko w noc świętojańską, zyskał sobie ogromną popularność w Paryżu i był później wystawiony w kilku innych stolicach europejskich. Uznanie tego obrazu jako dzieła niewątpliwego talentu umocniło Markiewicza w wierze w swoją karierę malarską i stało się dlań zachętą do dalszych prób i wysiłków.

W styczniu tego roku (1899) Markiewicz udał się ze swoim przyjacielem, Stefanem Krzywoszewskim, bawiącym wówczas w Paryżu, na bal studencki do Akademii Vitti. Krzywoszewski nawiązał rozmowę z wysoką i przystojną Angielką, którą następnie poprosił do tańca. Że jednak był proporcjonalnie za „krótki" w stosunku do swej partnerki — taniec szedł mu o wiele gorzej niż polowania i pisanie komedii. Skorzystał więc z tego, że niespodziewanie nawinął się Markiewicz i odstąpił mu swoją tancerkę. Była to właśnie Konstancja Gore-Booth, która również studiowała malarstwo w Paryżu (w akademii Julien'a). Oboje pasowali do siebie, gdyż Markiewicz miał 190 cm. wzrostu. Znajomość, zawarta na tym balu, zakończyła się, po niespełna dwóch latach, małżeństwem. Było ono doskonale dobrane pod względem upodobań i charakterów, gorzej pod względem wieku (Konstancja była o 6 lat starsza) oraz dbałości o prowadzenie domu i budżetu rodzinnego. To nie mąciło jednak pożycia młodej pary, tym bardziej że Markiewicz miał sam dobre serce i hojną rękę i przez szereg lat doskonale zarabiał jako malarz-portrecista.

Przez pierwsze dwa lata młoda para mieszkała w Paryżu, odbywając częste wycieczki po Francji oraz wyjeżdżając corocznie do Irlandii, gdzie też (w r.1902) Konstancja powiła córeczkę (Meave Alyce). W latach 1902 - 1903 Markiewiczowie odbyli dwukrotną podróż na Ukrainę, przebywając głównie w majątku rodzinnym Żywotówka. Pobyt w rodzinnych stronach wykorzystał Markiewicz dla studiów malarskich. W tym bowiem czasie namalował ponad sto obrazów, głównie scen rodzajowych i pejzaży.

Po powrocie z powtórnej podróży na Ukrainę — Markiewicz nie wrócił już do Paryża, ale osiedlił się (jesienią 1903 r.) w Dublinie. Ten dziesięcioletni pobyt w stolicy Irlandii stanowi jeden z najciekawszych okresów w jego życiu.

*

Przyjazd Markiewicza do Dublina przypada na okres odrodzenia kultury irlandzkiej w dziedzinie literatury, sztuki i teatru. Szereg wybitnych talentów, tworzących wówczas swoje dzieła, zyskał sobie w latach późniejszych światową sławę. Dublin — obok Londynu i Edynburga — stawał się szybko trzecim ośrodkiem kultury, o bardzo swoistym i oryginalnym obliczu.

W Dublinie były wówczas dwa żyjące obok siebie światy: pierwszy, reprezentujący imperium brytyjskie i „high society", już u schyłku swoich dni, oraz drugi — świat artystów i poetów, reprezentujący budzącą się do życia nową Irlandię. Należąc — przez swoje urodzenie i małżeństwo z Konstancją do „high society" — Markiewicz, brał udział w jego zebraniach towarzyskich, zabawach i ulubionych balach maskowych.

Jego uroda i wspaniała postawa, dowcip i pomysłowość w organizowaniu zabaw oraz ujmujące obejście czyniły go zawsze ośrodkiem i duszą każdego zebrania i zabawy. Trzeba również przyznać, że Konstancja doskonale z nim w tych sprawach harmonizowała.

Życie towarzyskie pochłaniało Markiewicza tylko w nieznacznej mierze. Był w Dublinie inny jeszcze świat, do którego bardziej lgnął upodobaniami i zamiłowaniem do jego trybu życia — świat artystyczny budzącej się do wolnego życia Irlandii. W nim Markiewicz tkwił najsilniej przez cały czas swego pobytu w Dublinie.

Jedną z pierwszych postaci tego świata artystycznego, z którą zetknął się Markiewicz wkrótce po przybyciu do Dublina był G. W. Russel (1867-1935), znany lepiej pod pseudonimem AE, poeta, malarz, krytyk literacki, dramaturg i ekonomista. Była to jedna z najbardziej nobliwych i najciekawszych postaci odradzającej się kultury irlandzkiej. Russel dał się najpierw poznać jako poeta i krytyk literacki; na uboczu od tych zajęć uprawiał malarstwo akwarelowe. Gdy Markiewicz przybył do Dublina i poznał się z Russel'em — wnet ocenił jego talent malarski, skierowany jednak w niewłaściwym kierunku. Namówił go najpierw, by przerzucił się na malarstwo olejne, udzielając mu swoich rad i wskazówek a następnie, by się odważył urządzić wystawę zbiorową swoich dotychczasowych prac. Russel poszedł za radą Markiewicza.

Pierwsza wystawa prac Russel'a była zorganizowana równocześnie z pierwszą (w Dublinie) wystawą obrazów Markiewicza oraz Konstancji. Do grupy tej dołączyli się jeszcze dwaj miejscowi malarze: W. J. Leech oraz F. Baker. Odbyła się w Leinster Lecture Hall, od 11 do 23 października 1903. Markiewicz wystawił na niej 24 obrazy. Jeśli chodzi o ich motywy — to przeważa krajobraz i sceny z życia wsi ukraińskiej z okolic Żywotówki (majątek rodzinny Markiewiczów). Tematom tym poświęconych było aż 19 obrazów. Wystawa ta ustaliła pozycję Markiewicza jako malarza w dublińskim świecie artystycznym. Zachęcony jej powodzeniem, wystawił w roku następnym (już tylko wspólnie z obrazami Konstancji i G. W. Russel'a) aż 86 płócien (również w Leinster Lecture Hall, od 23 sierpnia do 3 września). W wystawie tej znalazło się kilka już dawniej namalowanych obrazów jak np. „L'Amour" i „Bread Triptych" oraz kilka portretów. Przeważały w niej obrazy z Ukrainy (około 40) oraz kilkanaście motywów z Irlandii.

Te dwie wystawy oraz kilkanaście portretów, malowanych na zamówienie w pierwszych latach pobytu w Irlandii, zamykają pierwszy okres twórczości malarskiej Markiewicza. Większość płócien pokazanych na dwóch wspomnianych wystawach została zakomponowana i namalowana w latach 1902 — 1903 w czasie pobytu na Ukrainie. Był to niewątpliwie najpłodniejszy okres w twórczości malarskiej Markiewicza.

Tempo pracy malarskiej (poza portretami) musiało zwolnieć na skutek zainteresowań Markiewicza teatrem. Na rozwój tego zainteresowania miała niewątpliwie wpływ znajomość z dramaturgiem



Kazimierz Dunin-Markiewicz

J. M. Synge (1871 - 1909), właściwym organizatorem narodowego teatru irlandzkiego. Markiewicz posiadał niezły głos i z tego tytułu wszedł do amatorskiego zespołu operowego zorganizowanego przez Dublin Musical Society. Zespół ten wystawił w r. 1906 operetkę „Pirate of Penzance", w której Markiewiczowi powierzono główną rolę (króla korsarzy). To całkiem bezpośrednie zetknięcie się z życiem teatru nie pozostało bez wpływu na jego wrażliwą wyobraźnię i natchnęło go myślą wypróbowania swoich uzdolnień w zakresie twórczości dramatycznej. Do podjęcia prób w tej dziedzinie zachęcała go również i Konstancja. Ich rezultatem było kilka sztuk teatralnych (wystawionych w Dublinie w latach 1908 - 1913 siłami zespołów amatorskich), dotychczas jednak nie publikowanych. Główne role grywała w nich przeważnie Konstancja, mająca również i aktorskie ambicje, mimo wieku i braku walorów zewnętrznych.

Najdawniejszą ze sztuk Markiewicza jest — jak się zdaje — czteroaktowa komedia „Syemour's Redemption", wystawiona w roku 1908 w Abbey Theatre. Jest to również jedyna z angielskich sztuk Markiewicza, wystawiona w polskiej wersji w r. 1922 w jednym z teatrów w Warszawie. Po „Seymour's Redemption" poszły dwie dalsze sztuki: „Rival Stars", grana od grudnia 1908 do stycznia 1909 w Dublinie oraz jednoaktówka „Lustre", napisana wspólnie z Seamus O'Kelly, grana w r. 1909 w Sligo i wydana w r. 1920 jako wyłączne dzieło tego ostatniego. Abbey Theatre wystawił również dwie następne sztuki Markiewicza: dramat „The Dilletante" oraz komedię „Mary" (obie w r. 1910).

Największy rozgłos zyskał sobie jednak trzyaktowy dramat historyczny „The Memory of the Death", wystawiony poraz pierwszy w roku 1910 i grywany kilkaset razy w różnych teatrach irlandzkich aż do r. 1930. Wznowiono go ponownie w latach 1936 - 1937 na scenie jednego z teatrów w Dublinie. Podłożem tego dramatu jest wydarzenie historyczne: lądowanie w Irlandii wojsk francuskich w roku 1798 pod dowództwem gen. J. J. A. Humbert'a, nieudane o tyle, że wojska te zostały wnet otoczone przez przeważające siły angielskie pod dow. lorda Corwalisa i zmuszone do poddania się (wrzesień, 1798). Treść osnutej na tym wydarzeniu sztuki Markiewicza jest w przybliżeniu taka: Michał Doyle, stateczny farmer i patriota irlandzki, oczekuje zapowiedzianego lądowania wojsk francuskich, z którym ma się połączyć powszechne powstanie w Irlandii. Sam nie będzie w nim mógł wziąć udziału, gdyż jest kaleką. Doyle ma piękną córkę Norę, o której rękę ubiegają się dwaj rywale: Dermod i James, stale z sobą skłóceni. Nie spodziewanie nadchodzi wiadomość, że wojska francuskie już lądowały i że potrzeba sześciu ludzi dla odebrania przywiezionej przez nie broni i amunicji i rozprowadzenia jej wśród okolicznej ludności. Pod wpływem tej wieści obaj rywale godzą się ze sobą i zgłaszają na ochotnika.

W akcie drugim dowiadujemy sie, że Nora wyszła za Dermoda, który, zaraz po ślubie udał się na wyprawę po broń. Przedsięwzięcie udałoby się niewątpliwie całkowicie, gdyby nie fakt, iż James, poczuwszy broń w ręku, postanowił zmniejszyć liczebność wojsk angielskich i zastrzelił jednego żołnierza na warcie. To ściągnęło na owych sześciu zuchów pościg, w czasie którego czterech zostało zabitych a James ranny. Ocalał jedynie Dermod, który też uprowadził rannego towarzysza i ukrył go w chacie w górach.

W międzyczasie do chaty Michała Doyle przybył przypadkowo pułkownik francuski z prośbą o przewodnika do Donegal, by ostrzec mające tam lądować nowe oddziały francuskie. Ponieważ stary Doyle nie może mu pomóc, Nora przebiera się po męsku i prowadzi Francuza przez góry do Donegal. Po drodze trafiają do chaty gdzie jest Dermod z rannym Jamesem. Nora zostaje w chacie, by go pielęgnować a Dermod prowadzi dalej Francuza. Od tego rozstania upływa sporo czasu a Dermood nie wraca. Na tym tle powstaje złośliwa plotka, że jest on zdrajcą. Wszyscy temu wierzą prócz Nory, która nadal oczekuje z wiarą powrotu męża. Wraca on wreszcie ciężko ranny, ścigany przez żołnierzy angielskich, po to tylko by umrzeć i dowieść, że wiara żony w jego prawość była niezawodna. Rolę główną w tej sztuce kreowała Konstancja. Gdy po premierze w jednym z teatrów publiczność wywołała autora — Markiewicz ukazał się na scenie, podziękował za gorące uznanie i oświadczył, że pisząc ją — miał na myśli losy swej umiłowanej ojczyzny — Polski.

Na pomysł napisania tej sztuki miała niewątpliwie duży wpływ Konstancja, która już wówczas brała czynny udział w niepodległościowym ruchu irlandzkim. „The Memory of the Death" obiegła wszystkie sceny w Irlandii, przyjmowana gorąco zarówno przez widownię jak i przez prasę, której ocena była niezwykle pochlebna tak dla wykonawców jak i dla autora. Słowem, ta sztuka polskiego autora, napisaną po angielsku, stała się na wiele lat głosem, budzącym narodowego ducha irlandzkiego.

Markiewicz jako autor posiada również swoje credo artystyczne w sprawie teatru. Dał mu wyraz w dyskusjach z aktorami i artystami oraz w jednym z pism dublińskich w formie recenzji z okazji wystawienia przez Theatre of Ireland sztuki Ostrowskiego „The Storm". Zarzuca on ówczesnemu gustowi publiczności angielskiej zbytnie rozmiłowanie się w płaskim sentymentaliźmie oraz w podziwianiu na scenie różnego rodzaju wybryków natury (jak n.p. karzełki) nadających się raczej do cyrku. Gust publiczności angielskiej jest bardzo niewybredny i nie ma zrozumienia dla sztuk realistycznych, zarówno swoich autorów (G.B. Shaw, Galsworthy) jak i obcych (Ibsen, Hauptman, Andrejew). Głównym tego powodem jest — obok gustu publiczności — także i komercjalny [illegible]akter teatrów angielskich, któ[illegible]uszą mu sprzyjać oraz opinia krytyków, nie rozumiejących ducha nowoczesnego, europejskiego dramatu.

Około 1909 Markiewicz założył w Dublinie Repertory Theatre, który, w jego reżyserii wystawił szereg sztuk popularnych w Europie autorów (jak np. Maeterlinck). W sztukach tych Markiewicz dbał o zachowanie realizmu, co stwarzało niejednokrotnie śmieszną sytuację. W r. 1912 wyreżyserował dla Gaiety Theatre sztukę Birmingham'a „Eleonor's Enterprize" z Konstancją w roli głównej. Partnerem Konstancji był doskonały aktor Ashley. Realistycznym rekwizytem sztuki był żywy osioł. Ashley, po pierwszym przedstawieniu zdenerwował się jego obecnością i nazajutrz, gdy rozpoczęło się drugie przedstawienie, chciał go ze sceny sprowadzić wbrew decyzji reżysera. Osioł, czując się dobrze w świetle kinkietów, uparł się i nie chciał zejść. W czasie szamotania się uzda się zerwała i Ashley wpadł za kulisy. „Dam good actor, donkey — zasyczał za sceną Markiewicz—. Only one ass on the stage now". Dalsze przedstawienia musiały się już odbyć bez osła.

Oprócz Repertory Theatre Markiewicz przyczynił się do założenia Dublin United Arts Club, który skupiał elitę artystyczno-literacką tego miasta oraz Fencing Club.

Do szeregu jego najbliższych przyjaciół z tego okresu należeli znakomici artyści i pisarze jak W. B. Yeates, George Moore, Seamus O'Kelly, Seamus O'Sullivan, dr Oliver St. J. Gogarty (lekarz i poeta), Sir William Orpen (malarz) oraz Thomas Furlong. Yeates bywał częstym gościem w Lisadel u Gore-Booth a później u Markiewicza w Dublinie i pijał z nim w ulubionych lokalach, gdzie gromadziła się brać artystyczna. Po wielu latach, wspominając czasy młodości, już po zgonie Konstancji i jej siostry, Ewy Gore-Booth, poetki, uczcił ich pamięć pięknym wierszem „In Memory of Eva Gore-Booth and Con Markiewicz", napisanym w r. 1927. Szczególnie oddanym Markiewiczowi przyjacielem był poeta i wydawca „Dublin Magazine" O'Sullivan. Gdy w roku 1918 rozeszła się wieść że został on ciężko ranny na wojnie i zginął — O'Sullivan uczcił go również wierszem.

Niepodległościowy ruch irlandzki, któremu Markiewicz mimowoli patronował swoją sztuką „The Memory of the Death", zaczął coraz bardziej przybierać na sile, wciągając w swój wir Konstancję i szereg bliskich mu osób. Szeregi przyjaciół i znajomych zaczęły się coraz bardziej przerzedzać: jedni usuwali się w cień konspiracji, inni znów opuszczali Dublin. Topniała rownież zamożna klientela z Anglo-Irish society która dawniej zamawiała sobie u niego portrety. Zamówienia te ustały, gdyż nie chciano, by płacone artyście honoraria obracane były przez jego żonę na walkę zbrojną z Anglią. Dublin stawał się coraz bardziej obcy; obce było nawet własne życie rodzinne, gdyż Konstancję pochłaniały sprawy polityczne, syn Stanisław (z pierwszego małżeństwa) był w szkole a córka u babki. Osamotnienie doszło do szczytu w roku 1913.

Gorzała wówczas wojna na Bałkanach. Nadchodzące z terenu walki wieści rozpaliły wyobraźnię Markiewicza do tego stopnia, iż postanowił tam pojechać jako korespondent wojenny pism angielskich. Powziętą decyzję zrealizował bardzo szybko i pod koniec 1913 roku opuścił Dublin. Wrócił tam na krótko w r. 1924, ale wówczas Dublin był już inny: był stolicą niepodległej Irlandii*)

Józef Jasnowski

*) Niniejszy artykuł oparłem na materiałach z archiwum rodzinnego, użyczonych mi łaskawie przez p. Stanisława Dunin-Markiewicza, któremu składam za to oraz za ustne informacje serdeczne podziękowanie. Uwzględniłem również drukowaną literaturę biograficzną, odnoszącą się do Konstancji oraz wspomnianych w treści artykułu pisarzy.

FRANCISZEK STRZAŁKO

ZAPOMNIANA MOWA

ZDALA naogół od utartych szlaków wznoszą się dawne kościoły drewniane. Znajdujemy je w wioskach zagubionych wśród rozległych lasów górnośląskich, na falistych równinach Podkarpacia. w dolinach Niskiego Beskidu, u podnóża i na zboczach Bieszczadów i Czarnohory. Położone na uboczu, nie zwracają uwagi szerszego ogółu, który nie zdaje sobie nawet sprawy, że posiadaliśmy przed wojną przeszło 2000 pomników drzewnego budownictwa sakralnego o wartości zabytkowo-artystycznej. Pod tym względem zajmowaliśmy czołowe miejsce wśród krajów Europy Środkowej a bodaj i całej Europy. Największa ilość zabytków i największe bogactwo form występują na Śląsku i w Mołopolsce.

Drewniane kościoły wzniesione są z poziomo ułożonych brusów, łączonych na rogach przy pomocy odpowiednich zacięć, czyli na zrąb. Dzwonnice posiadają konstrukcję z k i e l e t o w o — s ł u p o w ą, pobitą na zewnątrz gontami lub deskami.

Kościoły posiadają układ longitudonalny, lub centralny. W pierwszym wypadku nawa ma kształt czworoboku, przeważnie bardzo nieznacznie tylko wydłużonego, w drugim budynek ma zwykle kształt krzyża. Przynależność do takiego czy innego układu uwidacznia się jednak zazwyczaj nie tyle w planie, ile w ogólnym charakterze bryły architektonicznej i kształcie dachu. I tak układ centralny kościołów obrządku wschodniego wyraża się przeważnie w ten sposób, że nie dzwonnica, lecz nawa, a więc środkowy człon budynku stanowi jego część najwyższą (por. Matków); nadto w obrządku wschodnim nawa posiada prawie zawsze dach piramidalny, który bardzo często występuje także nad prezbiterium i przedsionkiem.

Drzewne budownictwo sakralne odznacza się bogactwem form i różnorodnością typów architektonicznych; niektóre z nich mają zasięg bardzo rozległy, inne związane są wyłącznie z pewnymi regionami. I tak najprostszy typ kościoła, bez dzwonnicy i bez charakterystycznego obejścia zewnętrznego, czyli t. zw. s o b ó t, spotykamy w całej Polsce, podczas gdy kościoły z sobotami znajdują się tylko na południu; zastępujący czasami soboty podokienny okap wsparty na konsolach spotykamy tylko na Śląsku i na ziemiach południowo-wschodnich; dzwonnica zwężająca się ku górze i posiadająca nadwieszone pięterko dzwonowe występuje prawie wyłącznie na południu; nadaje ona bardzo charakterystyczną sylwetę kościołom śląsko - małopolskim (por. kościół w Żywcu).

W niektórych kościołach dzwonnica stoi osobno, w większości jednak wypadków przybudowana jest ona do nawy. Na Śląsku i w Małopolsce, gdzie dzwonnica ma ściany nachylone do środka, łączenie jej z nawą o ścianach pionowych stanowiło pewnego rodzaju problem konstrukcyjny i tektoniczno-formalny. Problem ten został najudatniej rozwiązany w kościołach należących do typu, które ze względu na zasięg można by nazwać podkarpackim: w zabytkach tych gontowe pokrycie dzwonnicy zlewa się dołem z dachem sobót, które okalając wszystkie główne człony budynku, zespalają go optycznie w jednolitą całość.

Prawie wszystkie kościoły są orientowane, to znaczy ołtarzem głównym skierowane ku wschodowi. Zakrystia znajduje się z reguły od północy; jest to zwykle mała i niska przybudówka, na którą dach prezbiterium spływa nieprzerwaną, nieraz do ziemi prawie opadającą płaszczyzną (por. Zawada Książęca). Niektóre kościoły posiadają inne jeszcze przybudówki, jak kaplice, empory, przedsionki itp.; czasami schody na chóry umieszczane są na zewnątrz; wszystkie te dodatki urozmaicają bryłę kościoła, wzbogacając nieraz o nowe wartości tektoniczne, czasem o bardzo ciekawych i zupełnie nieoczekiwanych efektach.

Najdalej na zachód wysunięte zabytki budownictwa grecko-katolickiego często nie różnią się zupełnie od kościołów łacińskich; zwłaszcza dzwonnica i stosunek jej do reszty budynku są podobne; bardzo często jednak nawa i prezbiterium posiadają rodzaj zrębowej kopuły o kształcie czteroboku lub ośmiobocznej piramidy. Jest to forma wypływająca z tradycji bizantyjskiego centralizmu (por. Kwiatoń). W południowo - wschodniej części



ZAWADA KSIĄŻĘCA, pow. raciborski, D. Śląsk. Rok 1649(?).

województwa krakowskiego znajdujemy dużą ilość tych zabytków, stanowiących bardzo ciekawe ogniwo między wschodnim układem centralnym i zachodnim podłużnym. Jednym z najcelniejszych pomników tej grupy zabytków jest cerkiew w Kwiatoniu, pochodząca z roku 1811 (por. ilustracja); odznacza się ona zwykle regularnym rozmieszczeniem kopułek, które od niskiego sanktuarium poprzez nawę i dzwonnicę zdają się występować jedna nad drugą w muzycznym niemal rytmie; wysoki, piramidalny dach nawy i smukła, wyniosła dzwonnica o lekko zbieżnych ścianach stanowią elementy wertykalizmu, któremu przeciwstawiają się poziome linie uskoków dachowych, a wszystko razem składa się na całość pełną szlachetnej strzelistości, równowagi i elegancji. Ludowy artysta nie zapomniał też o otoczeniu: za ścianą ołtarzową i przed dzwonnicą zasadzono po jednym drzewie, akcentując w ten sposób podłużną oś budynku, który był dawniej pomalowany na kolor ciemnoczerwony w odcieniu wiśniowym; opady z biegiem czasu prawie całkiem zmyły malowanie, ale dawniej barwne kopułki, ujęte w zieleń rosnących przy świątyni drzew, musiały mieć w sobie coś z plastycznego wyrazu bukietu róż.

Poczynając mniej więcej od dorzecza górnego Sanu, architektura obrządku wschodniego zaczyna wykazywać zdecydowany centralizm: nawa dominuje wysokością nad prezbiterium i dzwonnicą. Zrębowe kopuły czyli wierzchy, osiągają czasami znaczną wysokość zwłaszcza w niektórych miejscowościach leżących u podnóża Bieszczadów; wierzchy te, tworząc liczne uskoki, nadają tamtejszym świątyniom sylwetę przypominającą pagody Dalekiego Wschodu (por. Matków); podobieństwo to jest jednak tylko przypadkowe; jak wykazały badania, o zewnętrznych zapożyczeniach nie ma tu mowy: formy te rozwijały się na miejscu, jako samoistny wytwór regionalnej ciesiołki. Cerkwie typu „pagodowego" spotykamy już w końcu XVIII wieku, ale szczytowy punkt rozwoju tego stylu osiągnięty został w roku 1838, gdy wzniesiono cerkiew w Matkowie w powiecie turczańskim (woj. lwowskie). Jak głosi napis nad głównym wejściem, „Tey świątyni fundamenta założone... dnia 21go czerwca Roku 1838". Nad wejściem bocznym podane zostały imiona budowniczych : „Maysztrowie Tey Budowli Tomas(?) Manikowicz(?) Wasyl Iwanykowicz". Pierwsze z tych nazwisk powinno niewątpliwie brzmieć: Mańkowicz, autor napisu jednak widocznie nie bardzo umiał poradzić sobie z pisownią. Zabytek matkowski wyróżnia się i jako dzieło sztuki i pod względem rozmiarów; wzniesiony jest on z potężnych brusów i był dawniej cały pobity gontem; szeroki okap biegnący pod oknami wsparty jest na imponujących wypustach; wysokie wierzchy są ośmioboczne; bardzo regularnie ukształtowane, o licznych daszkach-okapach rozmieszczonych w równomiernych odstępach, wierzchy te posiadają bardzo silnie podkreślony pierwiastek architektonicznego rytmu; równocześnie elewacje podłużne odznaczają się rzadko spotykaną symetrią; dzięki szerokości okapów i wspierającym je wypustom budynek wydaje się węższy u postawy, niż w partii podokiennej, co nadaje mu optycznie wspaniały efekt lekkości a równocześnie całość nacechowana jest doskonałą równowagą. Budynek sytuowany jest za wsią, wysoko na cyplu szerokiego garbu; oglądany z pewnej odległości sprawia on wrażenie płynącego okrętu, co zwłaszcza narzuca się sugestywnie, gdy



KWIATOŃ, pow. gorlicki, woj. krakowskie. Rok 1811.

wjeżdża się do wsi z góry od strony Mochnatego: wówczas na tle falującego morza Bieszczadów już nie cerkiew widać z oddali, lecz fantastyczny korab, który pomyślne wiatry wyniosły właśnie na szczyt fali.

Inne zabytki tej grupy posiadają podobne cechy, jakkolwiek mało gdzie występują one w tak doskonałej, niemal klasycznej postaci.

Cerkwie na planie krzyża z kopułą na skrzyżowaniu naw spotkać można na całym obszarze ziem południowo-wschodnich, lecz szczególnie są one rozpowszechnione w dorzeczu Prutu. W zabytkach tych zauważymy wiele spośród cech, o których była mowa uprzednio; podobnie jak inne pomniki z podokiennym okapem na konsolach posiadają one ową szczególną lekkość tak dobrze tłumaczącą się w budulcu drzewnym, dążenie do symetrii występuje w tych pomnikach silniej jeszcze czasami, niż w budynkach trójdziałowych. Charakter poszczególnych zabytków jest bardzo różnorodny: jedne są niskie, przysadziste, o spłaszczonych piramidalnych wierzchach, inne znów odznaczają się zdecydowanym wertykalizmem, co uwidocznia się w proporcjach ścian, dachów i wierzchów. W budynkach na planie krzyża greckiego centralizm znalazł swą najpełniejszą realizację.

Wnętrza drewnianych budowli sakralnych są przeważnie nieduże, lecz przecież o bardzo różnorodnym wyrazie. Dawniej kościoły śląsko-małopolskie pokryte były często polichromią, która niestety zachowała się w nielicznych tylko wypadkach; do najlepszych przykładów należy kościółek w Dębnie na Podhalu ze swą średniowieczną polichromią, która pokrywa niemal wszystko: ściany, pułap, belkę tęczy, kazalnicę, balustradę chóru muzycznego; są to malowidła patronowe o motywach geometrycznych, stylizowanych roślinnych, zwierzęcych itp.; wykonawcą polichromii musiał być rzemieślnik pochodzący niewątpliwie z jakiegoś ośrodka miejskiego, mimo to jednak jest ona doskonale zespolona z tym wiejskim wnętrzem, które wygląda jak obite barwnym kobiercem. Niektóre inne zabytki na Podhalu posiadają polichromię o cechach regionalnej twórczości ludowej jak np. kościółek w Grywałdzie, jeden z najbardziej charakterystycznych i nastrojowych pomników drzewnego budownictwa. Drewniane gotyckie ołtarzyki szafkowe, bardzo rzadko już dziś spotykane, były sprzętem wprost jakby stworzonym dla wiejskich wnętrz kościelnych; tam, gdzie wnętrza te były polichromowane, ołtarze szafkowe stanowiły świetne dopełnienie i punkt kulminacyjny grającej barwami całości; tam gdzie malowideł ściennych nie było, polichromowany i pozłacany ołtarzyk kontrastował nieraz cudownie z surową prostotą zrębowych ścian, jak świadczy o tym wnętrze kościoła w Bąkowie w powiecie kluczborskim na Śląsku. Epoka baroku poczyniła wielkie spustoszenia we wnętrzach drewnianych kościołów; usuwano dawne średniowieczne ołtarzyki by na ich miejsce powprowadzać nowe, zazwyczaj pretensjonalne ołtarze barokowe, często tak wielkie, że trzeba było specjalnie podwyższać pułap prezbiterium by je pomieścić; dawną polichromię usuwano, nieraz pod najbardziej dziwacznymi pretekstami; znikały stopniowo stare sprzęty, skromne i funkcjonalne. Mimo to jednak bardzo wiele wnętrz jeszcze do dziś posiada szczególny jakiś charakter, którego główną cechą jest intymność, niespotykana w murowanych świątyniach; intymność ta jest niewątpliwie odbiciem stosunku do Bóstwa tych, którzy kościoły te wznosili i dla których były one przeznaczone.

Inny charakter posiadają niektóre starsze cerkwie: tu żyje tradycja bizantyńskiego hieratyzmu; okna nawy rozmieszczone w dwóch lub trzech kondygnacjach nadają wnętrzu złudzenie niezwykłej wysokości, a piętrzące się na ikonostasie szeregi świętych, wydłużonych, nierealnych i surowych, poprzez dymy kadzideł spoglądają z góry na modlący się lud, jak z zaświatów. Ale nie wszystkie cerkwie są takie: niektóre, zwłaszcza w okolicach podgórskich, nie odbiegają zbytnio pod względem duchowego klimatu od budowli obrządku łacińskiego.

Problem, który stale się wyła-

niał, ilekroć wzrastała ilość parafian, było zwiększenie pojemności świątyni. Na zachodzie rozwiązywano to przez dostawianie kaplic, empor, lub transeptów, które nadawały kościołowi plan krzyża; czasami przedłużano nawę za pomocą pazowanych słupów, a ilekroć wznoszono nowy kościół, bywał on zazwyczaj większy od poprzedniego. Na wschodzie rzadko stosunkowo dostawiano przybudówki, uciekając się raczej do wzniesienia nowej świątyni, przy czym zwiększając skalę, zachowywano plan, lub modyfikowano go na tyle by umożliwić sobie objęcie zrębowymi ścianami większej przestrzeni przy równoczesnym uwzględnieniu tradycyjnego układu bryły architektonicznej.

Najstarsze kościoły drewniane pochodzą z XV wieku, jakkolwiek odnośnie poszczególnych pomników brak może w tej mierze całkowicie pewnej dokumentacji; natomiast dla sporej ilości kościołów stwierdzone jest pochodzenie conajmniej z pierwszych lat XVI wieku; większość zabytków przypada na okres od drugiej połowy XVI wieku do pierwszej XVIII; ilość kościołów pochodzących z drugiej połowy XVIII stulecia jest już stosunkowo nieduża, gdyż w okresie tym budulec drzewny zaczyna wychodzić z użycia. Inaczej przedstawia się ten proces, jeśli chodzi o budownictwo cerkiewne; wznoszenie drewnianych cerkwi zamiera jako przejaw regionalnej twórczości ludowej dopiero z końcem XIX wieku, a więc sto lat później, niż budownictwo kościelne. Ilość drewnianych cerkwi z XVI i XVII wieku jest stosunkowo nieduża; większość zabytków przypada na wiek XVIII i XIX.

Ludowi twórcy drewnianych świątyń żyli jeszcze do niedawna na wschodnim Podkarpaciu; w 1936 roku poznałem jednego z nich, był to bodaj ostatni Mohikanin; długo musiałem piąć się po górskim zboczu by dotrzeć do łąki, na której kosił on siano. Nazywał się Danyło Pohraniczny i liczył 70 lat. Był gazdą, a ciesiołkę uprawiał jako zajęcie poboczne; nie uczył się jej nigdy; jak twierdził, „patrzał jak jest zbudowane i już wiedział"; z początku budował tylko chaty; około 1915 roku powierzono mu przebudowę cerkwi w Krywce, która w 1930 roku została przeniesiona do Lwowa; potem przyszły inne zamówienia. Pohraniczny uważał, że cerkwie najlepiej budować w dolinie, przy drodze; tylko poganie, zdaniem jego, budowali na górach; nie da się jednak zaprzeczyć, przyznawał, że cerkiew stojąca na górze, jest zdala widoczna. Wierzchy o licznych okapach wznosił tylko dlatego, ponieważ „ludzie chcieli na stary sposób". Pobudki więc, które kierowały twórcami stylu „pagodowego", były mu już nieznane; był on tylko kontynuatorem tradycji lecz niewątpliwie kontynuatorem dobrym, dla którego tradycja miała jeszcze dużo żywej treści artystyczno-formalnej, na co wskazują jego budowle. Rozmowa z Pohranicznym była dla mnie jedyną okazją przeniknięcia choć w części zasłony, jaka z biegiem lat zaczyna coraz szczelniej zakrywać przed nami dusze dawnych ludowych twórców. Ich wypowiedzi o sztuce, przynajmniej jeśli chodzi o budownictwo sakralne, są nam właściwie zupełnie nieznane; mówią dziś oni zza grobu tylko językiem form, które powołali do istnienia; mowa to wdzięczna, prosta i na ogół zrozumiała dla tych, którzy na jej dźwięk są wrażliwi, ale przecież niejeden znak i symbol wymagałby komentarza, wyjaśnienia. A poza tym chciało by się wiedzieć o ludziach, którzy taką mowę stworzyli.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech drewnianych kościołów jest gra szerokich płaszczyzn dachów, które opadając ku ziemi zrazu stromo, potem coraz łagodniej, nie tyle przenikają się wzajemnie, ile przechodzą płynnie jedna w drugą; daje się zauważyć przytym unikanie płaszczyzn pionowych, które bądź całkiem są ukryte, bądź przerywane raz po raz płaszczyznami skośnymi (soboty, fartuchy). W budownictwie cerkiewnym bardzo doniosłą rolę odgrywa czynnik architektonicznego rytmu; do symetrii przywiązuje się tu na ogół większą wagę, niż w budownictwie kościelnym; kościoły często sprawiają wrażenie pełnych wdzięku, swobodnych kompozycji, które można było zawsze modyfikować, podczas gdy w budownictwie cerkiewnym panuje z reguły większa jednolitość koncepcji, bardziej surowa dyscyplina plastycznego układu. Wszystkie jednak zabytki posiadają w stopniu większym, lub mniejszym szlachetną równowagę a zarazem lekkość, która wypływa wprawdzie z charakteru budulca, lecz która nigdy nie ujawniłaby się tak przejrzyście i konsekwentnie, gdyby twórcami tej architektury nie byli prawdziwi artyści. Dzięki temu niewątpliwie wszystkie te pomniki odznaczają się prostotą, ujmującą bezpośredniością plastycznego wyrazu i równocześnie wszystkie tak dobrze służą swemu przeznaczeniu. Te wszystkie sanktuaria zaiste nadają się do modlitwy i nabożeństw. Pamiętam, jak byłem kiedyś przypadkowym świadkiem chrztu w pewnej zapadłej wiosce w Karpatach. Było ciepłe niedzielne popołudnie; obecni byli tylko rodzice dziecka i chrzestni; ceremonia odbywała się na ganku cerkiewnym, wspartym na rzeźbionych słupkach, za którymi widać było w dali zalesione góry, a gdy proboszcz przerywał słowa modlitwy, z doliny dolatywał szum potoku; po dokonaniu właściwego chrztu wszyscy wkroczyli do cerkwi, a jeśli ja, jak nigdy przedtem, pozostawałem pod wrażeniem dostojnej prostoty z jaką odbyło się to przyjęcie nowego członka do wielkiej rodziny Kościoła, to niewątpliwie odegrał tu rolę nastrój otoczenia. Otoczenia, do którego wprost zdawały się być skierowane słowa psalmu: „Jak miłe przybytki Twoje, Panie Zastępów".

Jedną z podstawowych właściwości drewnianych budowli sakralnych jest harmonia łącząca je z przyrodą. Kościoły otoczone są przeważnie tak, że są mało widoczne i jedynie grupa drzew, wyróżniających się wiekiem i rozmiarami, zdaje się znaczyć ich obecność w krajobrazie; dopiero na jesieni, gdy opadną liście, kościół ukazuje się poprzez sieć konarów i gałęzi. Natomiast cerkwie stoją przeważnie na miejscach odkrytych i są z daleka widoczne, zwłaszcza w miejscowościach górskich; ich twórcy nadali im kształty tak zharmonizowane z krajobrazem, że stały się one jego dopełnieniem i bez nich byłby on pusty (por. Sianki).

Jeśli chodzi o uczuciową precyzję zjawiska, jakim jest dla nas kościół drewniany, to niewątpliwie bardzo ważną rolę odgrywa tu czynnik czasu. Właśnie ten element zniszczenia, tak szczególnie groźny dla drewnianej architektury, w pierwszej fazie swego oddziaływania spełniał rolę twórczą. Gdy tylko człowiek skończył swe dzieło, czas zabierał się do roboty; zmieniał kolory: jaskrawe, jasno-żółte gonty czynił srebrnymi, potem brunatnymi, ściemniając je z roku na rok, aż stawały się prawie czarne, a na to ciemne tło kładł rdzawo-zielone plamy mchu; wyginał płaszczyzny dachów, nadając im ową miękką falistość, tak charakterystyczną dla drewnianej architektury; zrównywał niemal z ziemią znajdujące się przy kościele stare groby, pokrywając je trawą wysoką; przekrzywiał proste drewniane krzyże; wywoływał nastrój szczególny, któremu ulec musiał każdy; inny w gorące letnie popołudnie wśród brzęczenia pszczół dokoła lip odwiecznych, inny gdy wśród wieczornej ciszy z niewidocznego już w mroku kościoła popłyną dzwony na Anioł Pański, ale zawsze pełen zadumy głębokiej i bardzo pogodnej a nade wszystko wielkiego pokoju.

Często pada pytanie, jaki jest styl drewnianych kościołów, gotyk czy barok. Ani jedno ani drugie. Mamy wprawdzie drewniane kościoły o dwuwieżowych fasadach, wyraźnie wzorowane na budowlach barokowych, ale są one stosunkowo nieliczne, zwłaszcza na południu. Kościoły drewniane z ich sobotami czy fartuchami, ze zwężającymi się ku górze dzwonnicami o nadwieszonych pięterkach, z dachami spływającymi nisko ku ziemi, stanowią grupę zabytkową stylistycznie odrębną i na ogół niezależną od historycznego rozwoju architektury murowanej. Z architektury tej do budownictwa drzewnego przenikały wprawdzie liczne formy, lecz nie istotne przemiany rozwiązań przestrzenno-tektonicznych, a więc to co decyduje o s t y l u w szerokim tego słowa znaczeniu. Ciekawe jest zestawienie pomników budownictwa drzewnego z współczesnymi im zabytkami architektury murowanej: kościół w Starym Żywcu (por. ilustracja) pochodzi, jak się zdaje, z XVI wieku, mógł więc być wzniesiony równocześnie z kaplicą Zygmuntowską na Wawelu, lub ewentualnie z kościołem św. Piotra i Pawła w Krakowie, zbudowanym na planie krzyża z kopułą na skrzyżowaniu naw; kościół w Zawadzie Książęcej, datowany na r. 1649 (dzwonnica z r. 1726) byłby współczesny takim zabytkom, jak kościół Kamedułów na Bielanach pod Krakowem z jego szeroką dwuwieżową fasadą; cerkwie w Kwiatoniu, Matkowie i Siankach powstały w okresie, gdy Aigner wznosił w Warszawie kościół Kanoniczek, a Corrazi teatr Wielki. Już z tego pobieżnego zestawienia widać, jak „ahistoryczne" jest nasze drzewne budownictwo sakralne i jak wielka odległość dzieli je od architektury murowanej. Niewątpliwie w związku z tą okolicznością pozostaje fakt, że ten dział naszej twórczości artystycznej nie doczekał się dotąd należytego uwzględnienia w ogólnych opracowaniach dziejów naszej sztuki. A przecież obraz naszego dorobku w dziedzinie kultury artystycznej staje się całkowicie niekompletny bez uwzględnienia twórczości prowincji. W naszych **warunkach** ma ona szczególne znaczenie, choćby z uwagi na to, że w czasach ubiegłych bardzo mało stosunkowo posiadaliśmy ośrodków kultury miejskiej a i te nieliczne znajdowały się w upadku XVII i XVIII wieku. Gdy spogląda się w przeszłość, widać wyraźnie jak rozwój naszej twórczości artystycznej kroczył dwiema drogami: jedna z nich to wielki gościniec, łączący miasta, siedziby magnackie i klasztory z zachodem Europy, gościniec o charakterze kosmopolitycznym, w czasach nowożytnych wytyczony i zbudowany przeważnie na wzór włoski, z mniejszym lub większym uwzględnieniem naszych własnych upodobań i potrzeb; druga — to polna droga wśród łanów zbóż i lasów, nad brzegami potoków i na beskidzkich zboczach, bardzo daleko od miast; przy tej drodze bujnie wyrastały polne kwiaty artystycznej twórczości naszej wsi. Prawda, że dzieła te są z nietrwałego materiału i skala ich jest niewielka, ale przecież wiadomo, że ani rozmiary ani trwałość materiału nie decydują o wartościach formalno-plastycznych. Zdumiewać się natomiast można w jaki sposób artyści wiejscy i małomiasteczkowi przy pomocy tak prostych środków wypowiadali nieraz tyle subtelnych i skomplikowanych rzeczy. Co więcej, mając własny stosunek do zadań budownictwa, umieli wypowiedzieć się w odrębny, oryginalny sposób. I tu tkwi jedna z głównych różnic między tą twórczością a tak zwaną sztuką historyczną, bo to, co działo się w tej ostatniej, było przeważnie wyrazem stosunku do architektury, który został wykształcony w ośrodkach znajdujących się poza Polską. Oczywiście nie można pomniejszać takich osiągnięć jak gotyk krakowski, lub kościoły wileńskiego baroku, na ogół jednak nie sposób jest nie przyznać, że jeśli chodzi o oryginalność form, nasze drzewne budownictwo sakralne zajmuje o wiele bardziej autonomiczną pozycję w całokształcie architektury europejskiej.

Gdy zestwia się naszą architekturę murowaną z budownictwem drzewnym, zwraca uwagę pewna analogia z rozwojem naszej literatury: architekturę murowaną możnaby do pewnego stopnia porównać z łaciną, która przez dłuższy czas była językiem literackim warstw oświeconych, podczas gdy budownictwo drzewne, ta sztuka szerokich warstw, to jakby dawna mowa polska, czasem może trochę surowa i pierwotna, czasem może o cechach gwary prowincjonalnej, ale jakże dźwięczna i bogata, pełna prostoty i bezpośredniości, a przede wszystkim oryginalna, ukazująca własne, gdzie indziej nie spotykane formy: prawdziwa polska mowa form plastycznych.

Franciszek Strzałko



MATKÓW, pow. Turka n/Stryjem, woj. lwowskie Rok 1838.



STARY ŻYWIEC, woj. krakowskie. Wiek XVI (?).



SIANKI, pow. Turka, woj. lwowskie. Rok 1831.

Wszystkie zdjęcia wykonał autor artykułu.

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

NIEDZIELA

UTWÓR SCENICZNY. — POCZĄTEK AKTU I-go.

Pokój Barbasi, skromnie urządzony, sprzęty bylejakie, pomieszane i w połowie wiejskie; stół z białego drzewa, niezgrabna szafka domowej roboty, krzesła, stołki, łóżko; pod ścianą fotel niegdyś ozdobny, teraz spłowiały i łatany. Z lewej strony drzwi do Stasia pokoiku, z prawej — do sieni. Na wprost widowni:

Okno w lekkim obramowaniu firanek
Prowadzi w inny świat,
O którym tu będzie mowa.
Widać niebo zorzą oblane:
A w górze kłąb chmury — jak kwiat
Bladej róży brzeżonej złotem,
A dołem — toń purpurowa.
Wszystko krzyżem czarnym przecięte,
Widać trzon i ramiona rozpięte.
Prócz tego nieba i krzyża —
Nie ma w oknie więcej nic...
Ale przecie patrzący widz
Drogę za oknem zgaduje
I ogródek, co do ścian się zbliża
Bukietami pstrych georginii.
Barbasia przy oknie stoi,
W niebo i w krzyż się wpatruje...
Od szyb różowy blask płynie,
A po kątach już, mrok w pokoju.

PAWEŁ
Płacze pani, Barbasiu?... Płacze?

BARBASIA
Nie płaczę. Patrzę na krzyż.
Stasio wróci. Wkrótce go zobaczę.
A ty, Pawle, jakoś nie masz spokoju?

PAWEŁ
Bo tak dziwnie... Ten zmrok w pokoju,
To niebo rozpięte wzwyż
Czerwoną zorzą...

BARBASIA
Zachód. Zwykła rzecz. Między Bożą
A ludzką dolą — ta różnica właśnie:
W pokoju szaro, to ludzki dzień gaśnie
W czterech ścianach, które człowiek stworzył...
A tam na niebie — gasnący dzień Boży
Po niebie się purpurą przelał,
Jeszcze się chwilę popali
I zaćmi... Jutro będzie niedziela.

PAWEŁ
Piąty dzień, jak Stasia zabrali...

BARBASIA
Piąty dzień. Rychło wróci. Nie było powodu,
By go brali.

PAWEŁ
Jakto?! Milicjant podał
Powód. Podburzał ludzi,
Aby krzyża bronili, nie dali wykopać!
Zeszło się przecie wtedy tyle chłopa!
Krzyż został. On się pewno łudził,
Że na zawsze zostanie. Czułości
Romantyczne! Dziś wieczorem w ciemności
Wykopią go. Kościelna czeladź —
Te świętoszki, co bunty godzą z pokorą —
Ani się nie obejrzą, jak go stąd zabiorą!

BARBASIA
Dziś nie wywiozą. A jutro — niedziela,
A w niedzielę się może zmienić wiele rzeczy.

PAWEŁ
Jako i w każdy inny dzień — nie przeczę,
Ale...

BARBASIA
Stasio nie podmawiał nikogo!
Bo między tym krzyżem nad drogą
A Stasiowym sercem — jest dalekość.
Jako między tą zorzą, co niebo obleka,
A tym mrokiem, co wokół nas leży.
Stasio krzyża nie bronił. Stasio nie wierzył.

PAWEŁ
At! wierzył, czy nie wierzył, sąd będzie uradzał!
A z krzyżem sprawa prosta: krzyż przeszkadza!
Bo tu szkoła, tu kościół, moja kuźnia pobok,
Dzieci biegają, bawią się ze sobą,
Jeszcze może się co złego przydarzyć.
Drogę trzeba poszerzyć. Zresztą gmina każe,
Mają tu podobno brukować...

BARBASIA
Tyś się pod tym krzyżem wychował...

PAWEŁ
Nie trza mi przypominać. Pamiętam.

BARBASIA
Na Boże Narodzenie co roku, na święta
Wyście, chłopcy, u krzyża się zbierali z gwiazdą
Aby iść kolędować... Stasio i ty Pawle...

PAWEŁ
Cóż to, pani Barbasiu, za wspomnienia nagle?
Od tej drogi, od ciasnego przed szkołą przejazdu,
Od bruków — tak odrazu w serce czyjeś?
Uderzyć i nasłuchiwać — bije?
Taka ciekawość zaczajona!
Katolicki konfesjonał!
Takie szperanie po omacku,
Bo może coś znienacka
Z zakamarków serca błyśnie,
Może jak krew z rany tryśnie!

BARBASIA
Nie unoś się. W serce ci nie zaglądam.
Zamknąłeś — niech będzie zamknięte.
Ja na krzyż za oknem spoglądam,
O nim mówię i o roli świętej,
Jaką wśród nas odgrywa.

PAWEŁ
Rola to, zaiste, osobliwa:
Sterczeć między bzy dzikie i łopuchy
I być niemym i głuchym.

BARBASIA
Iii... Takie tam gadanie! Jak mucha, co bzyka,
Tu przysiądzie, tam sfrunie, ówdzie szybę opstrzy
I brzęczy — i myśli, że muzyka!

PAWEŁ
A to mi ciętość! Dziękuję!
Język toczony najostrzej!
Niczym te chłopskie lemiesze,
Co je z ognia wyciągać śpieszę
I na kowadle kuję!
A lat minionych lepiej nie wspominać.

BARBASIA
Stasio i ty, Pawełku, byłeś mi za syna...

PAWEŁ
Moja pani Barbasiu... Kopę lat się znamy...
Bywało kręcę się podle szkolnej bramy,
Kowal mnie wypatruje po kuźni — czeladnika,
A ja wedle bramy szkolnej pomykam,
Wedle tych grządek kwietnych, co je ktoś tam zasiał.
A tu nauczycielka idzie — pani Barbasia!
Śmieje się, kiwa ręką, bym wszedł do ogrodu,
Cukierki z kieszeni dobywa...
Lepsza pani była za młodu,
Barbasiu... Wylewniejsza...
A może bardziej szczęśliwa...

BARBASIA
Człek się zsycha na starość. Wylewność się zmniejsza...
A i ty odmieniony.

PAWEŁ
I Stasio...

BARBASIA
Z nim inna sprawa.
Stasio — dziw, że dziś nie szalony!
Widział jak matkę wlekli bolszewicy,
Ojca Niemcy ustrzelili w olszynie.
Myślałam, że dziecko zginie,
Zemrze z rozpaczy, tęsknicy,
W dzień płakał, w nocy z krzykiem wstawał!
Ze Stasiem, — to inna sprawa!
A u ciebie... u ciebie drzazga w sercu siedzi.
Poszedłbyś, Pawełku, do spowiedzi.

PAWEŁ
Drzazga? A pani Barbasia domyślna!
Serce, drzazga, spowiedź... Bajda!
Żeby kto inny, to bym wyśmiał!
Ale pani ma w sobie coś z matki.
Nie wiem, jak to z matką bywa, bom znajda!
A przecież ta w oczach czułość,
Ten uśmieszek kojący, gładki,
Te ręce, jakby się z nich snuło
Nieustanne pocieszenie — i całość
Taka w ruchach gorliwa, śpieszna w chodzie...
I to wszystko, aby załagodzić,
Prawda? Aby nie bolało?...

BARBASIA
Dałabym życie, by wam pomóc obu,
Ale cóż?... Niema sposobu.

PAWEŁ
A jakie to potrzebne sposoby
Na te, pani Barbasiu, choroby,
Czy nieszczęścia? Jam spokojny,
Pracuję, zarabiam. Lepiej mi jak przed wojną,
Kuźnia już moja własna, całą parą idzie...

BARBASIA
Za co ty... za co ty Stasia nienawidzisz?...

PAWEŁ
Oooch... — To nieprawda! To urojenia!
To chyba od ciągłego na ten krzyż patrzenia
Pani wpadła w jakieś stany mistyczne,
Przeczucia, niedomówienia...
Przepraszam — nazwę to z imienia:
Dewocje histeryczne!
Pani świat się zawalił!
Te zmurszałe krzyże,
Obwieszone obrazkami, wiankami,
Sterczące nad drogami
Rozczapierzone straszydła —
To pani świat! A on się wali!
Upada coraz niżej!
Oczyszczają się polskie drogi,
Prostują się w każdym zakątku,
Jak lecące po ziemi skrzydła, —
Już nie będą do nieba sięgać
Ramiona drewnianych świątków!
Wzięły rozbrat z waszym Bogiem!
Niebo im niepotrzebne, bo w nich jest potęga!
A nam — młodym — tak już obrzydła
Wasza modlitwa do niebieskich ocaleń,
Wasza, powtarzam, histeria!
Tego, w co pani wierzy, nie ma wcale!
Jest tylko materia! Materia!!
Materia! I to mnie raduje,
To mnie wyzwala i cieszy!
Zciera ze mnie tę wieczną obawę,
To śledzenie bolesne i ciekawe,
To samoszpiegowanie: co czuję?...
Co myślę? Czym aby nie zgrzeszył?...
Niema duszy! Niema duszy!

BARBASIA
Krzyczysz, żeby siebie samego zagłuszyć.

PAWEŁ
Co?... Co pani powiedziała?...

BARBASIA
Że Boga,
Boga w sobie tak łatwo nie zakrzyczysz,
Nurzasz się cały w goryczy
I powiadasz, żeś wyzwolony.
A w tobie — popatrz w oczy — trwoga!
Biedny, biedny chłopcze zagubiony...
(pauza — Paweł zaczyna chodzić po pokoju)

PAWEŁ
Ja może stąd wyjadę...
Tu wszystko owiane mgłą,
Zasypane popiołem i czadem,
Jakby cała polska stęchlizna
W tym jednym się miejscu zebrała,
I tu mimo wojny przetrwała...
Staroświecka, pełna zaduchu — ojczyzna,
Od której ratunku nie ma!

BARBASIA
Wyjedź. Co cię tu trzyma?
Na kowala zbyt żeś wykształcony,
Wieleś myślał, jeszcze więcej czytał.
A gdybyś poszedł w świat,
Powędrował w inne strony, —
Może byś zobaczył, że ta jednolita
Staroświeckość i, jak mówisz, czad
Po całej Polsce się snuje,
Jak mgła ze ziemi paruje,
Jak rozchodnika ziele
Po całej ziemi się ściele...

PAWEŁ
Jak rozchodnika ziele...
Łodyżki, gałązki drobne,
Do nitek pleśni podobne —
Mogilne, mogilne ziele...
Ale ja wyjechać nie mogę.
Jakoś się tutaj wrosło
Jak drzewo w te łąki, w tę drogę...
Jakbym był jakąś sosną,
Co gałęźmi szarpie przestworze,
Pod wiatrem się gnie i słania,
Pod ulewnym deszczem ocieka, —
A z miejsca ruszyć nie może.
Jakbym tu na coś czekał,
Na jakieś rozwiązanie,
Co tylko tutaj się stanie...

BARBASIA
Może to ta Hanusi mogiła
Na parafialnym cmentarzu?

PAWEŁ
Strzępek życia, ochłap lichy,
A taka w nim siła,
Jakby o przyszłości ważył!
Ten grób Hanusi cichy...
...Włoseczki miała płowe
I oczka szafirowe...
Śnieg padał, lśnił jak rosa
Na rozplecionych włosach...
Chodziła z nami za królowę —
Z kolędnikami za ręce...
Śnieg sypał po niebieskiej sukience...
Włoseczki miała płowe...

BARBASIA
Pamiętam, jak w zachwyceniu
Jej wzrok się ku gwieździe wznosił.

PAWEŁ
Stasio zawsze gwiazdę nosił.

BARBASIA
A gwiazda świeciła w cieniu,
A ciemność nie mogła jej zatrzeć.

PAWEŁ
Jakże miała Hanusia na mnie patrzeć,
Gdym się wlókł z nimi za diabła przebrany,
Kowalski czeladnik, sadzą umazany!

BARBASIA
Dawne, dawne to dzieje...
Stasio sam gwiazdę kleił,
Długie miesiące ją budował,
Co roku była piękniejsza, co roku nowa,
Podobna do niesionego słońca czy księżyca.

PAWEŁ
Stasio był synem dziedzica.

BARBASIA
Nigdy się tym nie pysznił ani trocha.

PAWEŁ
Wszystko jedno. Hanusię kochał.
Ona w księżycowym świetle
Miała niemal że srebrne liczka,
Oczy lśniące, jakby łzą naciekłe...
Szła za Stasiem jak lunatyczka.
Śnieg skrzypiał pod nogami...
A ja na końcu, za trzema królami —
Już nie człowiek — czarny cień,
Do upiora podobny, do zmory...
Jaka to gorycz była, Barbasiu, jaka gorycz...

BARBASIA
Zgadywałam to. Patrzyłam z ganku
Na drogę lśniącą jak wstęga,
Blask od gwiazdy aż do krzyża sięgał
I krzyż stał w migotliwym wianku...
Śpiewaliście kolędę — dobrą nowinę...
A ja na ganku stałam,
Nie na drogę — w wasze serca patrzałam:
W twoje, w Stasiowe, w Hanusine...
Ale nieśliście dobrą nowinę!

PAWEŁ
Na co to się zdało komu?

BARBASIA
Chodziliście od domu do domu,
Wszędzie blask gwiazdy świecił,
Śmiały się małe dzieci,
Starsi was witali z radością,
Świat się rozjaśniał miłością!
Cóż, że niosłeś swe udręki człowiecze,
Zazdrość ciemną jak bagienna niecierz?
Ważniejsze działy się rzeczy!
Wiejska droga się wspinała do nieba,
Między niebem i ziemią jasny pomost się tworzył!
Byliście w służbie Bożej:
Wszystko było jak trzeba.

MARIA CZAPSKA

MAGDA

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą. (Mat. 5, 8)

WIELE lat temu, na przystanku tramwajowym, przy Gare Montparnasse zaczepił nas polski chłop, z węzełkiem na plecach:

— Proszę łaski państwa, spytał, jakby mnie stąd dojechać do Podkala?

Po dłuższej dopiero chwili zrozumieliśmy, że chodziło mu o departament Pas de Calais.

W tym samym czasie na szpaltach kroniki kryminalnej, w relacjach o różnych rozbojach i włamaniach, pojawiał się często termin „bandits polonais". Ci polscy „bandits" rekrutowali się po większej części z takich zagubionych i bezradnych w obcym świecie immigrantów, nieraz oszukanych, albo niezdolnych do aklimatyzacji.

Magdę poznałam niedawno, u znajomych, gdzie przychodziła regularnie raz na tydzień, dla „oporządzenia kasroli". Drobna postać o zwiędłej, nijakiej twarzyczce za stosem rondli, które biegle operowała zwilżonymi kłaczkami wełny metalowej, proszkiem, szmatą i mydłem.

Później poznałyśmy się bliżej i polubiły.

* * *

Magda przyjechała do Francji około 1925 roku, jako młoda dziewczyna ze wsi podkaliskiej. Jeździła uprzednio „na Saksy" sezonowo, ale do Francji pojechała już zakontraktowana na rolę, jesienią z gromadą innych dziewcząt, każda do innej miejscowości, a nawet do różnych departamentów.

W dużej normandzkiej fermie Lo Cottaz przydzielono ją do bydła; musiała doić trzydzieści krów, wraz z parobkiem szykować paszę i oporządzać oborę. W piątek gospodyni dawała mięso, a w inne dni kapustę i gróch skwaśniały. Mięsa nie jadła więc Magda nigdy, a do kościoła w niedzielę jej nie puszczano, choć był niedaleczko, tak że świece było widać z drogi. W niedzielę kazano jej wynosić gnój. Przy bydle, wiadomo, nie ma spoczynku ani niedzieli, ani święta. Ręce miała popuchnięte od tego dojenia, że ledwo ruszała palcami. W sąsiedniej fermie pracował jeden chłopak, tyż Polak, mleko zwoził do mleczarni i codnia, o świcie, zajeżdżał z wozem po bańki pełne, a po południu odwoził puste. Przyuważył sobie dziewuszkę i zawsze kilka słów z nią zamienił. Razem też ładowali bańki na wóz. On pochodził z Kieleckiego, z piasków Świętokrzyskich.

Tak minęła jesień i zima. Wiosną to gospodarz najął do krów i przerywania buraków jeszcze jedną robotnicę tyż Polkę, ale ta już ze dwa albo trzy lata pracowała po fermach i nie była taka ciemna, jak Magda.

— Nie bądź taka niedotknięta, radziła jej ta nowa. Tu jest moda inna i obyczaj inny, nie ożeni się z tobą, głupia, jak będziesz się tak szanować!

Krowy już wyganiano na pastwisko, a w przydrożnych rowach kwitły ciernie, jakby kto śniegiem posypał.

I stało się.

Po tych rowach spotykali się wieczorami, kiedy wszyscy już spali. Miała co razpamiętywać siedząc pod wydętymi krowimi brzuchami, na coś czekać, czegoś się spodziewać.

— *Allons, Magda, ne rêvassez pas!* potrząsała nią gospodyni. Magda już wiedziała że *rêvasser*, to gapić się.

Nawet o kościele zapomniała, tylko z wieczora przy pacierzu biła się w piersi z głęboką skruchą, powtarzając: „Boże bądź miłościw mnie grzesznej!"

Dnie były coraz dłuższe, znojniejsze. W czerwcu Andrzej najął się do sianokosów w dalszej fermie. Po mleko przyjeżdżał kto inny i już serce nie zamierało w Magdzie, kiedy słyszała klekot baniek.

Ale pisał i *jak* pisał!

— Gdyby był żonaty, to by tak nie pisał... twierdziła ta doświadczona, co jego listy Magdzie czytała.

Ale właśnie się okazało, że był żonaty, tylko że żonę zostawił w Polsce. Co było robić? Miała za swoje i czekała dziecka. Jak mu to powiedziała, to mówił, że jej tak nie zostawi i ożeni się z nią „w meri" (mairie — urząd stanu cywilnego).

— W *meri?* oburzyła się Magda, w meri szukaj takiego samego hultaja jak ty! Ja nazwiska mieniać nie potrzebuję!

Dziecko się urodziło, a kiedy rodzice na swoich kilku morgach w tej wiosce za pagórkiem, z którego widać Kalisz jak na dłoni, dowiedzieli się, że Magda ma dziecko z żonatym chłopem, to napisali do niej, że się jej wyrzekają i żeby im się więcej na oczy nie pokazywała. Ale ona im odpisała, nie sama, bo pisać nie umie, ale tylko podyktowała tej kobiecie, napisała, że Pan Jezus jej *nigdy* nie opuścił, nawet kiedy była w grzechu, to dla czego oni nie mieliby jej darować? No, to po jakimś czasie jej darowali i jeszcze coś dla dziecka przysłali.

Ale dziecko to musiała oddać na garnuszek jednej tam kobiecie, co miała swoje i pracować, bo tej kobiecie trzeba było zapłacić i dziecko oblec. I znowu minęło lato i przyszła jesień i znowu rwała buraki w taką niepogodę, że nie daj Boże! W przemokłym odzieniu, nogi w błocie, dzień po dniu. Wtedy to dostała astmy, takiej zadyszki z kaszlem ale wciąż pracowała. Musowo. Jak rano wstawała do roboty, to ledwo na nogach się trzymała, tak z sił opadła. Ludzie jej poradzili, żeby jechała do miasta, że znajdzie posługi i mniej się będzie mordować. A gospodyni nie zatrzymywała, bo i korzyści było z niej coraz mniej.

Pojechała więc do tego Paryża. Dziecko dało się umieścić u św. Kazimierza. Siostry przyjęły, mimo że nieślubne, bo ksiądz jeden polski się za nią wstawił i wydał zaświadczenie.

A Magda służyła.

— *Ça ne va pas, Magda?* — mówiły panie u których robiła *menaż.*

— *Ça va, ça va!* odpowiadała uśmiechnięta, bo cóż miała im mówć, słyszały przecie jak kaszle, ale pracować musiała, bo dziecko...

Jak ją w nocy nachodziła ta zadyszka i powietrza złapać nie mogła, to tylko resztką tchu modliła się: Boże, Boże! zlituj się ... nad dzieckiem... żeby nie zos... tało sie- ...rotą!!

Potem zaczęła pluć krwią i zabrali ją do szpitala i miała tam zamkniętą butelkę do plucia.

I ten ksiądz, co za nią świadczył, jej opiekun, przychodził do niej do szpitala z Panem Jezusem, ale nie często, bo skądże? I czasu też nie miał. A jak czekała na tego Pana Jezusa, *jak* czekała!

Przy łóżku miała cukierki na kaszel i kiedyś nocą sięga po cukierek, bo już czuje jak kaszel podchodzi, jak zaraz zacznie rwać i słyszy, ale wyraźnie słyszy: Nie jedz tego cukierka! Obejrzała się — nikogo! To był Stróż-Anioł.

A nazajutrz ktoś ją budzi, potrząsa:

Magdo! Magdo! Przyszedłem z Panem Jezusem.

Jaka radość! Jakie szczęście!

A potem to ją wypisali z tego szpitala, bo było jej jakby lepiej i chodziła do pracy, ale wciąż kaszlała a dziecko było u św. Kazimierza, nawet tam po polsku ją uczyli. Chodząc po kościołach, trafiła Magda do tego z grobem św. Genowefy, jakby kamień w klatce, podobnej do relikwiarza, świecami obstawiony. Nawet jeszcze wtedy nie wiedziała, że ta święta, to patronka Paryża, ani że pod tym kamieniem nie leżą jej prochy, dawno na wiatr rzucone, tylko że to sam kamień grobowy. Ale widziała tylko jak się ludzie modlą przy tym grobie, i że tyle przy nim świateł, i że jedna kobieta wciąż kładzie rękę na ten kamień, a potem pociera chorą nogę. To i ona zaczęła się modlić i kładła rękę na kamień, a zaś potem na piersi.

— Ale mojo drogo pani, mówi Magda, jak ja się modliłam! — *Z płaczem!*

I ta zadyszka minęła; nie zaraz, ale tak jakoś pomalu... A trwała ta choroba dziesięć lat!

Do księdza swego opiekuna chodziła Magda „na menaż", aż do samej jego śmierci, a ksiądz nieraz pokazywał ją gościom, mówiąc:

— Dwa razy na śmierć dysponowałem, a widzicie jak to się zwija? Zawsze też kazał jej pamiętać słowa Najświętszej Panienki: Oto ja służebnica Pańska...

— Wszyscy, mówił, służymy, każdy wedle sił i zdolności.

Dziś córka Magdy, Marysia, już jest zamężna, wyszła za górnika, też Polaka i mieszka w Lens i ma już swoją córeczkę, a Magda ciuła grosze, żeby wnuczce coś posłać, choć na Święta. Pracuje nadal, sprząta i najmuje się do prania, ale najchętniej to robi „kasrole" bo i upodobanie ma do tej czynności i prawdziwą znajomość rzeczy. Blask, który jej umiejętne zabiegi nadają zaniedbanym rondlom, cieszy ją jak każde udane dzieło cieszy swego twórcę. Wtedy przypomina sobie może słowa zmarłego opiekuna: wszyscy służymy, moje dziecko, każdy wedle sił...

Czy bardzo się zmieniła od czasów swej pierwszej młodości, kiedy jeździła „na Saksy", ze swojej wsi podkaliskiej? Pozostała drobna, szczupła, ruchliwa, ale różową, wesołą twarzyczkę ma zniszczoną a uśmiech bezzębny, choć zawsze pogodny. Okrągłą, kocią główkę przykrywa małym beretem, jak jarmułką. Ten berecik osłania jeszcze ciemne jej włosy, zebrane w mały, ciasny węzełek; nie zdejmuje go chyba nigdy. W swojej wsi kaliskiej osłaniałaby tak samo głowę ale chustką, zawiązaną pod brodą. Wynajmuje od lat małą izdebkę na poddaszu pięciopiętrowego domu, izdebkę o skośnym suficie i malutkim, jednoszybowym okienku w tej pochyłości dachu, z widokiem na niebo. Na głównej ścianie wisi kolorowana fotografia kilkoletniej dziewczynki, tej, której dała życie i dla której straciła zdrowie. Bo mimo cudownego wyleczenia się z tej wieloletniej „zadyszki" Magda nie jest zdrowa i często zapada na przewlekłe zaziębienia.

Odwiedziwszy ją kiedyś z wieczora w łóżku, z gorączką, spotykam nazajutrz w kościele.

— Pani Magdziu, jak można! Z gorączką wychodzić!

— Ale mojo drogo pani, odpowiada patrząc mi w oczy z wyrazem zgorszonego zdziwienia, toż to pierwszy piątek!

Dałam spokój, bo istotnie cóż znaczyło zdrowie wobec tej miłości?

Magda lubi rozmawiać i rada jest odwiedzającym ją wieczorem, lub we dnie wolne od pracy, tylko nie wtedy, kiedy się wybiera na nieszpory, majowe lub różańcowe nabożeństwo. Wtedy nie. Wtedy każda chwila jest jej droga, wtedy spieszy jak dziewczyna na spotkanie z ukochanym.



Z TEKI ARTYSTÓW POLSKICH

Zygmunt Turkiewicz: Dziewczyna z ptakiem.

— Może pani przyńdzie inno poro, mojo drogo pani! Bo teraz to ja już lecę...

I drobna, szara postać w zrudziałym bereciku już biegnie nie oglądając się na nic.

Kiedyś, pod wrażeniem filmu „Monsieur Vincent", pytam Magdię, czy była kiedy w kinie? Tak, była, chyba nawet ze dwa razy, ale nie pamięta na czym. Może jeszcze z dzieckiem? Nie pytam więcej. Czuję, że nic z tego miasta olbrzymiego, w którym mieszka już z górą dwadzieścia lat, nic z jego tysięcznych atrakcyj nie jest jej potrzebne, ani pożądane.

Poza chlebem powszednim, ciężko zapracowanym, nic z Francji nie wzięła, chyba jeszcze tych kilka skażonych słów, którymi swobodnie przeplata swoją chłopską polszczyznę. Nie powie więc, że pracowała na wsi, ale „*na kompań*" (campagne), że w czasie choroby była zapisana „*na szomaż*" (chômage — bezrobocie) i źle znosi niepogodę, zwłaszcza *bruję* (brouillard — mgła).

W niedzielę chodzi Magda do polskiego kościoła, przy ulicy St. Honoré, metro *Concorde;* stąd wśród Polaków kościół ten nazywa się powszechnie tylko *Kąkord.* Kąkord to nie jeden z najpiękniejszych na świecie placów z obeliskiem, bijącymi skrzydłami wodotrysków i zamgloną na horyzoncie sylwetą Łuku Triumfalnego, ale mały okrągły kościół, gdzie odbywa się o 11-tej polskie nabożeństwo z polskim kazaniem i pieśniami polskimi, tymi samymi, które Magda, będąc dzieckiem, śpiewała w swoim wiejskim kościółku przed obrazem Częstochowskiej.

Nigdy też Magda nie opuści żadnego obchodu w Montmorency, przy cmentarzu, gdzie od stu lat z górą bywają chowani wszyscy zasłużeni Polacy. W Dzień Zaduszny i w doroczne pamiątkowe nabożeństwo za spokój duszy Niemcewicza i Mickiewicza w tłumie polskiego uchodźstwa można zawsze odnaleźć zrudziały berecik i życzliwy uśmiech Magdy. Wyprawy do Montmorency napewno nie traktuje jako uciążliwego obowiązku, związanego ze stanowiskiem lub piastowaną godnością, a jedzie tam z potrzeby serca, dla zbawienia dusz zmarłych, włączając się w łańcuch polskiej tradycji, sama o tym nie wiedząc.

„*Bracia w Chrystusie!* czytamy po francusku na marmurowej tablicy kościoła w Montmorency, *proście Boga, by raczył obdarzyć swoim miłosierdziem dusze Polaków zmarłych na ziemi wygnania i utwierdzić w dalszych pokoleniach wiarę i nadzieję..." w odwieczną sprawiedliwość. Amen." 1856 r.*

* * *

Wspomnienie kraju dalekiego zatarło się już w jej pamięci. Ojcowie pomarli a rodzeństwo skrzywdziło ją przy działach, nie wypłaciwszy nigdy należnej części dziedzictwa. Teraz zaś piszą prosząc, żeby ona im posłała jakie obleczenie, że nie mają co na siebie wdziać. Co ona im pośle? Szmatów sama ma niewiele i bardzo ponoszone. Pisali jej tyż, że te bolszeniki to im chcą ziemię odebrać i że ludzie nocą znaki graniczne zakopują, żeby była pamiętna ta granica.

— No pewno! Żeby mnie kto chciał odebrać ziemię, com ją własnymi rękami obrabiała, to jakże to?

A jak jej opowiadam co się dziś w Polsce dzieje, że rodzice boją się własnych dzieci, że księży od ołtarza zabierają do więzienia, że klasztory zagrożone, że zmuszają ludzi do zapierania się własnej wiary — odkłada na chwilę robotę:

— Nie, to tak trwać nie może, nie może. Musi być z tym koniec, Bóg ześle na tych bolszeników zgubę i to już niedługo, mojo drogo pani!

Bo Magda wierzy w „odwieczną sprawiedliwość", jak inni w to, że po nocy nastąpi dzień, i w czystym sercu swoim nosi jej nieskażony obraz.

Maria Czapska

BOGUSŁAW PRZERADZKI

KSIĘGA WIELKIEJ

WYDAWCA „Rocznika Polonii Zagranicznej na rok 1950” **być** moze nie jest świadom, jak znakomitego posiadał poprzednika sto lat temu, za Wielkiej Emigracji. Był nim Adolf hr. Tabasz Krosnowski, rodem z Warszawy, z zawodu chyba raczej żołnierz niż redaktor i wydawca, skoro przesłużył w wojsku 16 lat i sześciokrotnie był ranny. Wziął udział w Powstaniu Listopadowym w randze podpułkownika i odznaczony został dwukrotnie orderem „Virtuti Militari”, raz za bitwę pod Lisowcem, drugi raz za zmagania pod Raygrodem.

Po powstaniu osiadł w Paryżu i powziął wcale ambitny plan wydania drukiem spisu wszystkich emigrantów polskich, którzy opuścili kraj w r. 1831 lub później, rozpraszając się po różnych krajach Europy i świata. Zamierzenie było ambitne, ale możliwe do wykonania, skoro ogólna liczba tych emigrantów nie dochodziła do 10.000 (w tym około 9.000 wojskowych i do tysiąca cywilnych, z członkami Rządu i Sejmu na czele), — podczas gdy dzisiejszą polską emigrację polityczną obliczać trzeba lekko na jakieś trzysta tysięcy.

Niemniej i wówczas na drodze do sporządzenia ogólnego opisu emigrantów piętrzyły się poważne trudności. Główna fala uchodźców, złożona z uczestników powstania, którzy przekroczyli granicę pruską lub austriacką, ruszyła pod koniec 1831 r. przez Niemcy ku Francji. Organizatorom tego „przemarszu” — o czym mało komu wiadomo — był generał Józef Bem, późniejszy wódz powstania węgierskiego w r. 1849; z pomocą służyło mu czterdzieści kilka komitetów, które powstały w różnych miastach niemieckich, często z inicjatywy samej ludności, zwłaszcza w Niemczech zachodnich, rozkołysanych wówczas — nie na długo zresztą — falą romantycznego liberalizmu. Polaków, gdy tylko wyszli poza ziemie pruskie, przyjmowano entuzjastycznie, dostarczano im bezpłatnie kwater i pojazdów. Opisy tych przyjęć czyta się dzisiaj jak bajkę o żelaznym wilku. Wtedy to głównie powstały owe „Polenlieder” Mosena, Platena, Büchnera, Lenaua i innych poetów.

Wielu emigrantów udało się jednak na Zachód innymi drogami, w pojedynkę. Nie brakło wszakże i później większych grup, złożonych z oficerów i żołnierzy, których po przejściu przez nich na terytorium pruskie czy austriackie władze tamtejsze wychwytywały i wydalały. Pod koniec r. 1833 do Ameryki Północnej przybyło 235 wojskowych polskich, deportowanych z Austrii drogą na Triest. Podobnie zamierzali postąpić Prusacy z kilkuset żołnierzami, których przez dwa lata przetrzymywali w Grudziądzu i Gdańsku, zmuszając ich do ciężkich robót. Znaczna większość prostych żołnierzy i podoficerów, którzy w październiku 1831 r. przeszli z głównym trzonem wojsk powstańczych granicę Prus Wschodnich, po ogłoszeniu przez cara Mikołaja amnestii bądź sama powróciła do Królestwa Kongresowego, bądź też zapędzona tam została siłą przez Prusaków. Do opornych strzelano; ofiarą masakr w Fischau w powiecie malborskim — mówi o tym Mickiewicz w swej Litanii Pielgrzymskiej — i w Elblągu padło kilkunastu zabitych i wielu rannych Polaków. Jako najoporniejsi z opornych zdołali jednak pozostać po tej stronie granicy w liczbie kilkuset żołnierze z oddziałów artyleryjskich gen. Bema, żołnierze i podoficerowie z pułku Krakusów, — przede wszystkim zaś spora grupa „czwartaków”, których pułk odznaczył się tak bardzo w bitwie pod Olszynką Grochowską. Temu to właśnie „tysiącowi walecznych” Julius Mosen poświęcił swe pamiętne strofy:

„In Warschau schwuren Thausend auf den Knieen,
Kein Schuss im heil'gen Kampfe sei gethan!
Tambour, schlag an! Zum Schlachtfeld lasst uns ziehen;
Wir greifen nur mit Bajonetten an!
Und ewig kennt das Vaterland und nennt,
Mit stillem Schmerz sein Viertes Regiment”.

Pruscy współrodacy Mosena znęcali się nad „czwartakami” i ich kolegami z innych oddziałów w kazamatach Grudziądza i Gdańska. Kiedy wreszcie musieli ich zwolnić, załadowali ich na kilka starych ciasnych statków, które miały ich zawieźć do Ameryki Północnej. Dziwnym jednak zrządzeniem losu burze morskie w Kanale zapędziły te statki na wybrzeża angielskie i francuskie. W rezultacie część żołnierzy pozostała we Francji, ponad 200 zadomowiło się w głównym angielskim porcie wojennym Portsmouth (tu miała powstać głośna później „Gromada Grudziąż”), a około 230 po postoju w Harwich przetransportowano za ich zgodą do Algieru, gdzie wstąpili do Legii Cudzoziemskiej.

Na tym jednak wędrówki emigrantów się nie kończyły. Zmieniali oni często miejsce pobytu — niekiedy z własnej woli, niekiedy z rozkazu policji francuskiej (jak Lelewel i Worcell), szwajcarskiej czy belgijskiej. Jedynie władze angielskie (i amerykańskie) nie czyniły wówczas emigrantom żadnych trudności, — większość ich wszakże zdecydowanie ciążyła ku Francji. Były i inne przyczyny wędrówek: udział emigrantów polskich w różnych ruchach rewolucyjnych i zbrojnych — jak niefortunna „wyprawa sabaudzka”, na którą ruszyła poprzez Szwajcarię grupa Polaków z „zakładu” w Besançon, — oraz próby niecenia partyzantki w kraju, z reguły kończące się tragicznie (wyprawa Zaliwskiego i kilka pomniejszych).

Wszystko to z pewnością nie ułatwiało sporządzenia listy emigrantów. Drugą przeszkodę stanowiło rozbicie organizacyjne Polaków i — z wyjątkiem jednej Anglii — brak czynników, które by próbowały utrzymywać w swych ośrodkach pełne listy emigrantów. W dodatku — jak się skarży Krosnowski w przedmowie do swego wydawnictwa — ministerstwa francuskie i prefektura policji, mimo podejmowanych starań, odmówiły mu udzielenia jakichkolwiek danych o Polakach. A przecież Krosnowski wyszedł z tych trudności obronną ręką, wystarał się o listy członków organizacyj emigracyjnych, porozsyłał gdzie się da kwestionariusze, przeprowadził ogromną korespondencję. Niektórzy emigranci oświadczyli mu, że w spisie jego ze względów osobistych nie życzą sobie figurować; inni podali tylko niektóre dane, dotyczące ich osób.

Do wszystkich tych życzeń Krasnowski skrupulatnie się zastosował — i oto w r. 1837 ukazuje się pierwsze wydanie jego księgi adresowej pt. „*Almanach Historique ou Souvenir de l'Emigration Polonaise*”, a w dziesięć lat później, w r. 1847 wydanie drugie, uzupełnione i dlatego większe objętością[1]. Jest to tomik formatu dwunastki, liczący około 630 stron. Wszystkie objaśnienia, podobnie jak w wydaniu pierwszym, zredagowane są po francusku. Trzon książki wypełnia alfabetyczny spis emigrantów polskich — uczestników powstania 1830/31 r., czy to wojskowych czy cywilnych. Po nazwisku i imieniu z reguły podane jest miejsce urodzenia lub dzielnica Polski, z której dany emigrant pochodzi, stopień wojskowy (lub stanowisko cywilne), nie-

[1] Książka ta jest rzadkością bibliograficzną — przynajmniej na terenie Anglii. Możność korzystania z niej zawdzięczam uprzejmości p. H. S. Kliszczewskiego, wnuka emigranta polskiego, przybyłego do Anglii w r. 1837. (Przyp. aut.)

DYSKUSJE

DWA GŁOSY O G. B. S.

„SAINT JOAN”

WYDAJE mi się, że w swoim ciekawym liście, drukowanym w nrze 49 (180) ŻYCIA, na marginesie art. p. A. Poleskiej „Ostatni purytanin”, p. dr W. Jelonek posunął się zbyt daleko w niektórych twierdzeniach na temat sztuki Shaw'a „Święta Joanna”. Jakkolwiek nie na wszystkie uwagi p. Poleskiej, dotyczące Shaw'a mógłbym się bez zastrzeżeń zgodzić, sądzę że w krótkiej i ogólnej — z konieczności, gdyż w jednym artykule omawia się całą twórczość G.B.S. — ocenie „Saint Joan” nie ma chyba istotnych „punktów zapalnych”.

Czy sztukę Shaw'a o św. Joannie należy potępiać? Dr Jelonek sądzi, że tak, choć — jak pisze — nie ma zamiaru potępiać człowieka. Ale wydaje mi się, że chociaż dzieła literackie żyją własnym życiem, niezależnym od swych twórców, w wypadku Shaw'a trzeba rozumieć i dzieło i człowieka — i, że się tak wyrażę — kontekst socjologiczny dzieła i człowieka. — „Świętą Joannę” pisał nie-katolik dla nie-katolików. Niewątpliwie nie-katolikom wolno pisać na „katolickie tematy”. I piszą — czasem z dobrym skutkiem (o czym świadczy choćby „Pieśń Bernadetty” Werfla), czasem z gorszym. W każdym razie nie można od nie-katolika wymagać więcej, niż jest w stanie dać z siebie z natury rzeczy. Gdybyśmy bowiem każdego pisarza sądzili kryteriami, stosowanymi względem pisarzy katolickich, trzeba byłoby potępić bardzo wiele arcydzieł literatury światowej, które cieszą się życzliwą oceną katolickiej krytyki. Fakt, że dzieła te naogół nie dotyczą kanonizowanych świętych, nie zmienia postaci rzeczy. Gdyby Joanna z Lotaryngii nie została zaliczona w poczet świętych wyrokiem Kościoła Bożego, ocena jej ujęcia przez Shaw'a musiałaby pozostać taka sama, bo Kościół tylko przyświadczył faktowi jej świętości, który istniał od 500 z górą lat.

Oczywiście dla każdego katolika jasną jest rzeczą, że świętości Joanny Shaw przedstawić zadawalniająco nie potrafił i zgadzam się z dr. Jelonkiem, że czeka ona jeszcze na swego dramaturga. Ale — czy świętość może byc przedstawiona należycie przez kogokolwiek? O smutnym poziomie hagiografii w ogóle, (uprawianej przecież przez teologów!) nie wspominam nawet. Wśród prób artystycznego ujęcia Joanny wybijają się „Dwa stosy” Dobraczyńskiego, rzecz niewątpliwie w głęboko katolickim duchu napisana, ale i ona brakami swymi zdaje się potwierdzać regułę, że o świętości widocznie może pisać tylko święty. — Cóż więc mógł tu dać Shaw — człowiek wyrosły w środowisku pełnym uprzedzeń do katolicyzmu i wyznający doktryny bardzo od katolicyzmu dalekie. — I przedmowa do „Św. Joanny” nic dobrego nie wróży — zapowiada tam, że kreuje Joannę na „pierwszą protestantkę”. Na szczęście przedmów do sztuk Shaw'a nie biorą na serio ci, którzy chcą te sztuki z pożytkiem czytać. — Jednak, moim zdaniem, postać św. Joanny w sztuce przedstawiona jest delikatnie, powiedziałbym nawet — z miłością i to jest chyba największa niespodzianka dla katolika, znającego poglądy Shaw'a. Widać, że chciał, że starał się ją zrozumieć, wczuć się w jej motywy. A że nie zawsze mógł, że nie umiał — czyż przez to wyrządził krzywdę św. Joannie? Że w swej prawdziwie shaw-iańskiej przekorze chciał bronić sędziów Joanny, dlatego że wszyscy ich potępiali, przez co źle zinterpretował pewne fakty historyczne (nie sfałszował — sfałszowanie jest uwarunkowane świadomością, o którą tu Shaw'a posądzić niepodobna), czy to jest „krzywda moralna” dla Joanny? Wydaje mi się, że Joanna, jaką podaje nam historia, pierwsza wybaczyłaby mu jego błędy; ona, której nigdy nie chodziło o siebie, tylko o sprawę Bożą i Francji.

Wydaje mi się też, że zarzut czyniony przez dr Jelonka autorowi „Św. Joanny”, że zaprzeczał on nadprzyrodzonego charakteru misji dziewicy orleańskiej jest nieuzasadniony. Nawet jedyny przykład gdzie dało się Shaw'a przyłapać na tym, mianowicie zgoda Joanny „na słowa Roberta de Baudricourt, że jej Głosy pochodzą z jej imaginacji” (cytuję dr Jelonka), nie jest tak prosty jak się wydaje. Trudność leży w tłumaczeniu, jak i w tym, że słowa te wyjęte są z szerszego kontekstu. Polskie słowo ‚imaginacja’, to nie tyle ‚imagination’ po angielsku, co ‚fancy’. Słowo ‚fancy’ The Concise Oxford Dictionary tłumaczy jako: „ delusion, unfounded belief” — czyli „ułuda, bezpodstawne wierzenie”. Słowo ‚imagination’ użyte w oryginale Shaw'a oznacza wyobraźnię, nie w sensie ‚fancy’ ale w sensie ‚oczu duszy’, czy raczej w tym wypadku, uszu duszy’, bo chodzi o ‚głosy’. Tak interpretuje to Oxford Dictionary, określając ‚imagination’ jako „mental faculty forming images of external objects not present to the senses”, czyli „zdolność pojmowania wyobrażeń zewnętrznych przedmiotów niezauważalnych zmysłami.” Ta definicja nie wyklucza wcale realnego istnienia rzeczy nie odczuwalnych zmysłami. Nie wiem jak dawały znać o sobie „głosy” Joanny, ale wydaje mi się, że cud nie koniecznie musi mieć formę wyrażającą się zmysłowo; mowi się np. o cudach zachodzących w duszach ludzkich. (N.b. byłbym wdzięczny, jeśli autorytatywny głos teologiczny zechciałby poruszyć tę sprawę na łamach ŻYCIA). — Wydaje mi się, że św. Joanna słyszała głosy św. Katarzyny i św. Małgorzaty nie zmysłowo t. zn. tak jak gdyby słuchała radia, lecz właśnie „uszami duszy” — w formie głosu wewnętrznego, słyszanego wyobraźnią, a pochodzącego od Boga. Kontekst wskazuje, że tak Shaw to pojmował. Z właściwą sobie skłonnością do igrania znaczeniami słów w sposób pełen wyrazu skontrastował on świętość Joanny z przyziemnością Roberta. Oto cały fragment:

„Joan: *I hear voices telling me what to do.* They come from God.

Robre: *They come from your imagination.*

Joan: *Of course. That is how the messages of God come to us.*

Poulengay: *Checkmate*”

(Joanna: Słysze głosy mówiące mi co czynić. *Pochodzą one od Boga.*

Robert: One pochodzą z twojej wyobraźni.

Joanna: Oczywiście. Tak właśnie zlecenia od Boga do nas przychodzą.

Poulengey: Szach-mat).

(Podkreślenie moje).

Widać z tego wyraźnie, że Joanna nie wątpi w boskie, więc nadprzyrodzone pochodzenie swej misji. Przyziemny Robert nie widzi tego, ale Joanna wie, że wyobraźnia, w której słyszy głosy, jest pośrednikiem dla zleceń od Boga. Widzi to od razu Poulengay i dlatego ogłasza szach-mat dla Roberta, który zostaje pobity własną bronią.

Jest to szczegół, na który można się zgodzić lub nie. Nie mówię, że „Święta Joanna” Shaw'a jest arcydziełem katolickiej ortodoksji. Nie mówię, że jest ścisła historycznie. Są tam błędy, które sprostować trzeba, jak i trzeba głośno katolicki punkt widzenia przedstawić. Ale nie mogę zgodzić się na twierdzenie, że jest to sztuka szkodliwa. Nie jest szkodliwa dla katolików, bo ci znają prawdę i wiedzą, kto to pisał. Dla nie-katolików jest nie tylko nieszkodliwa, ale wiele dobrego zdziałać może. I tak się dzieje. W tym kraju choćby wiele uprzedzeń obaliła ta sztuka i wpływ jej jest niezaprzeczenie uszlachetniający. Nam zaś, katolikom, cieszyć się trzeba, że taka jest siła prawdziwej świętości, iż nawet w tak niekompletnym opracowaniu jak Shaw'a, jest wielka. - Cieszyć się trzeba nie bać, że nie-katolicy wykazują zainteresowanie katolickimi tematami, jeśli podchodzą do nich uczciwie, a nawet z pietyzmem, choć nie są wolni od obciążeń swych błędów. Prawda jest nasza, ale nie wolno nam trzymać jej dla siebie „pod korcem”. Wielu innowierców nawróciło się przez studium życia katolickich świętych. Shaw nie doszedł do tego; ale czy na niebieskim sądzie „Saint Joan” nie będzie mu policzona in plus? Myślę, że tak.

Bolesław Taborski

SHAW - IRLANDIA - RELIGIA

ŚMIERĆ Bernarda Shaw przyniosła sporo rzeczowych rozwiązań, sporo literackich przyczynków, sporo różnych domysłów, nie wybiegających jednak poza miarę dziennikarskich nowin.

Irlandia, którą Shaw prosił, żeby się za niego modliła, żałuje — oczywiście — że pisarz pochodzenia irlandzkiego nie był katolikiem. Pisma tutejsze przypominają, jak to rzereg lat temu Shaw bawił londyńskich słuchaczy opowiadaniem o niańce, która miała zwyczaj skrapiać małego Bernarda święconą wodą zanim chłopczyk poszedł spać. Był to — zdaniem irlandzkiego dziennikarza — nieautoryzowany chrzest, chrzest mimo wszystko.

Możliwie — czytamy dalej — iż wpływ owej katolickiej niańki sprawił, że Shaw pokochał Irlandię tak bardzo. Wyraz tych uczuć jest, jak zawsze u tego pisarza, wstrzemięźliwy, ale mocny, serdeczny i trafny. Oto w przedmowie do sztuki „John Bull's Other Island”, napisanej dla dublińskiego Abbey Theatre, jest następujące zdaniem: „Bardzo czystą i świętą jest duszą katolickiej Irlandii.” Jest to najbardziej wzruszający hołd, jaki ktokolwiek oddał katolickiemu narodowi Irlandii.

Jest rzeczą ogólnie znaną, iż Shaw posiadał wielu przyjaciół wśród katolików, że najserdeczniejszym wśród nich był G. K. Chesterton. Mało jest jednak znany fakt, że Shaw napisał swego czasu dla Chestertona „scenariusz” sztuki o św. Augustynie z Canterbury. Osią dramatycznego planu był powrót św. Augustyna do Anglii nowych czasów oraz problem przeobrażeń, jakim uległ naród angielski. Shaw błagał Chestertona, żeby temat rozpracował, twierdząc że na pomyśle G. B. S. mógłby zrobić... majątek G. K. C.

Sztuki jednak nie ma. I nie wiadomo dlaczego Chesterton jej nie napisał.

Shaw — mimo pozorów — interesował się klasykami katolickimi. Fascynował go przede wszystkim św. Tomasz z Akwinu, w którym widział własną siłę, logiczną strukturę myślenia. Nie wiadomo, ile dzieł św. Tomasza przeczytał, to jednak jest pewne, iż nauka wielkiego Akwińczyka zawiodła Shaw'a ku zrozumieniu katolickiego mistycyzmu. Ślady tego ciekawego „tomizmu” widoczne są w niezwykłym uduchowieniu listów, które Shaw pisał w ostatnich latach do znajomych w swej ojczystej Irlandii. Tego „spirytualizmu” Shaw nigdy nie pokazywał światu.

Było wiele sprzeczności w tym wielkim pisarzu, który „bardzo często błądził, ale błądził w sposób wspaniały”. Bawiło go, kiedy uczucia swoje maskował. Kiedy uważano go za ateistę, on napadał tylko w swój właściwy sposób na wypaczone idee o Bogu. Coś jednak musiało się zmienić u Shaw'a, kiedy w r. 1940 zaatakował namiętnie ewolucjonistów i suchej nitki nie zostawił na zwolennikach Darwina i Huxley'a.

Jedynym dziełem, w którym Shaw stanął oko w oko z „prawdziwym” problemem religijnym — była „Święta Joanna”. Pisał ten dramat, kiedy był na dłuższych wywczasach w południowej Irlandii. W hotelu, w którym przebywał wówczas z żoną, zaprzyjaźnił z pewnym zakonnikiem O.O. Paulistów. Przyjaźń stała się po pewnym czasie niezbędną. Nie było dnia, żeby wielki Shaw nie odczytywał zakonnikowi manuskryptu i nie zasięgał jego fachowych rad. Nawet z Anglii, gdzie G.B.S. kończył swój dramat, przychodziły do irlandzkiego zakonnika partie rękopisu do „religijnej” korekty. Kiedy Shaw nie mógł, przysyłała je czasem pani Charlotta wraz z bardzo serdecznymi listami. W czasie tej interesującej i osobliwej wymiany poglądów Shaw napisać miał do irlandzkiego zakonnika: „Jeżeli tak dalej pójdzie, ja zostanę Ojcem Paulistą, a ty będziesz agnostykiem”.

W. P.

ADRESOWA EMIGRACJI

kiedy także ilość lat służby, udział w bitwach i otrzymane ordery, — wreszcie przy końcu obecne miejsce zamieszkania, czasem nawet z podaniem dokładnego adresu. Często jednak dane ograniczają się do nazwiska i obecnego miejsca zamieszkania.

Spis ten, łącznie z uzupełnieniami przy końcu książki, obejmuje 7636 nazwisk. Osobno podanych jest 60 nazwisk Polaków, którzy w powstaniu udziału nie brali, lecz osiedli we Francji i innych krajach. Osobno też Krosnowski daje spis zmarłych emigrantów: 768 mężczyzn i 28 kobiet. Łącznie więc jego „Almanach" objął osiem i pół tysiąca osób, co stanowi przypuszczalnie ponad 85% ogółu emigrantów. W warunkach, w jakich przyszło Krosnowskiemu szperać i gromadzić dane do „Almanachu", — jest to osiągnięcie nielada. Nie pomniejszają go nawet drobne nieuniknione usterki, do których sam się przyznaje w przedmowie. W samym końcu książki podany jest spis instytucji i czasopism emigracyjnych (m. in. figuruje tam ówczesny Dom Polski w Londynie, 21, Percy Street, koło Tottenham Court Road, oraz biuro londyńskiego Ogółu Emigracji Polskiej, 38, Great Pulteney Street, koło Golden Sqare w Soho).

Jak skrupulatny był autor „Almanachu" w opracowaniu swego materiału świadczy okoliczność, że spośród wielkiej trójcy romantycznej jedynie Słowacki znalazł się w głównym spisie „Almanachu" *(Słowacki Jules, Paris, 10 bis, rue Ville -l'Evêque)*. Istotnie jeden Słowacki przez parę pierwszych miesięcy brał czynny, choć nie zbrojny, udział w powstaniu, oddając mu na usługi swój talent poetycki i pisząc „Bogurodzicę", „Kulik" i „Śpiew Legionu Litewskiego". Mickiewicza za to Krosnowski umieszcza w dziale Polaków osiadłych we Francji *(Mickiewicz Adam, profes. extr. da la littér. slave au Coll. de France — Paris, aux Batignolles)*, — podobnie także Chopina *(Chopin Frédèric, célèbre pianiste, Paris, 34, rue St. Lazare)*. Zygmunt Krasiński w ogóle w „Almanachu" nie figuruje; Krosnowski niewątpliwie nie uważał go za emigranta, skoro Krasiński już po powstaniu przebywał kilkakrotnie w Polsce (w latach 1832 - 33, 1838 i po 1843) za paszportem rosyjskim. Brak też w „Almanachu" Norwida, który w chwili wybuchu powstania liczył zaledwie 9 lat i który wprawdzie już w r. 1842 ruszył z kraju za granicę, do środowiska emigracyjnego zbliżył się jednak na dobre dopiero w kilka lat później.

Trzy czwarte osób, wymienionych w Almanachu", to emigranci osiadli we Francji. Na drugim miejscu, ale daleko w tyle znajduje się Wielka Brytania. Podział emigrantów między ważniejsze kraje, względnie części świata, przedstawia się, przy uwzględnieniu już listy zmarłych, następująco:

Francja 6363	Austria 40
W. Brytania 688	Hiszpania 38
Ameryka 495	Portugalia 36
Afryka 311	Włochy 9
Belgia 186	Turcja 8
Szwajcaria 56	Persja 2
Niemcy 47	Australia 2.

Reszta przypada głównie na emigrantów, których miejsca pobytu „Almanach" nie podaje. Najmniej braków zawiera niewątpliwie spis Polaków w Wielkiej Brytanii, gdyż tu Krosnowski mógł się opierać na dokładnym rejestrze, prowadzonym i stale uzupełnianym przez londyńskie Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski w jego siedzibie, 10, Duke Street, St. James's, która w czasie niewoli była czymś w rodzaju ambasady nieistniejącego Państwa Polskiego. Największe natomiast luki zawiera prawdopodobnie zestawienie Polaków w Hiszpanii, Niemczech i Włoszech, gdzie musiało ich być w tym czasie więcej, niż to z Krosnowskiego wynika. Nie wymienia on też garstki Polaków, którzy osiedlili się w tym okresie w krajach skandynawskich.

Znaczna większość emigrantów polskich w Ameryce przypada oczywiście na Stany Zjednoczone, choć znajdujemy także luźnych emigrantów osiadłych w Kanadzie, Meksyku, na Kubie, w Brazylii i Chile. Były adiutant gen. Wincentego Krasińskiego Pągowski — jak informuje Krosnowski — spełnia czynności profesora w szkole angielskiej w Valparaiso; inny Polak, Postępski, ma w tym mieście hotel; jeszcze inny, żołnierz 16 pułku liniowego Piotrowski, rodem z Wileńszczyzny, pracuje w jednym z magazynów w Valparaiso. Przyjaciel Mickiewicza, uczestnik powstania na Żmudzi, Ignacy Domeyko, jest w owym czasie profesorem chemii i mineralogii w kolegium w Coquimbo, również w Chile; stoi on u progu wspaniałej kariery naukowej w tym kraju.

Polacy w Afryce to przeważnie oficerowie i żołnierze francuskiej Legii Cudzoziemskiej, stacjonowanej w Algerii. . Kilku emigrantów przebywa jednak także na różnych stanowiskach w Egipcie; jeden zawędrował nawet do Senegalu.

Z wielkich miast najwięcej, bo 1038 Polakow przypada na Paryż, który pod każdym względem był stolicą Wielkiej Emigracji. W Londynie, wedle „Almanachu", mieszkało 302 Polaków; jest dziś nas w stolicy Anglii przeszło sto razy więcej! Drugie miejsce wśród miast angielskich zajmował Portsmouth (176 Polaków). W Nowym Jorku liczba emigrantów polskich wynosiła 127: rzecz ciekawa, że drugim z kolei miastem w Ameryce, które Polacy sobie wówczas upodobali, był Nowy Orlean (34 emigrantów).

* * *

Wielką przewagę w liście emigracji — co wynikało z jej składu — mają nazwiska drobno- i średnioszlacheckie, obok tego pojawiają siła 127; rzecz ciekawa, że drugim chodzenia, głównie mieszczańskie (stanowią one 8 — 10 proc. wszystkich nazwisk). Nazwisk o brzmieniu wyraźnie chłopskim jest kilka procent; spotyka się je głównie wśród wspomnianych wyżej żołnierzy, których Prusacy i Austriacy deportowali statkami na zachód.

Stosunkowo dużo znajdujemy w „Almanachu" nazwisk, które brzmią nam znajomo i które spotykamy, lub spotykaliśmy na łamach dzisiejszej prasy emigracyjnej. Oto dla ciekawości niektóre z nich — wraz z paru nazwiskami podobnymi — w porządku alfabetycznym (w nawiasie ilość emigrantów, noszących dane nazwisko, o ile powtarza się ono częściej):

Adamkiewicz, Arciszewski, Arnold, Bagiński, Baliński, Baranowski (14), Barański, Berezowski, Bielecki, Bielski (10), Bieńkowski, Biernacki (6), Bitner, Bogusławski (6), Bojarski, Borkowski (11), Borowicz, Borowski (14), Bortnowski, Borucki, Brzeski, Brzeziński, Budzyński (3), Bulewski, Bzowski, Celiński, Ciechanowski, Choromański, Chrzanowski (8), Czapski, Czarnecki, Czarniecki, Czarnomski, Czerwiński, Czetwertyński, Czyżewski, Daniłowicz (5), Dąbrowski, (40), Dembiński (7) Dębski, Dolanowski, Domański, Dowbór, Dunin, Dzieduszycki, Dziewulski, Erdman.

Falkierski, Filipowicz (9), Florczak, Frankowski, Froelich, Frydrych, Gadomski, Gajewicz, Gajewski, Gąsiorowski, Giedroyć (3), Gliński, Godlewski (8), Golejewski, Gołębiowski i Gołembiowski (razem 21), Gorecki, Górski, Gorzechowski (15), Grabski, Grobicki, Grocholski (2), Gross, Grzybowski (5), Halecki, Harasimowicz, Hausner, Heinrich, Hoffman, Horain, Hryniewicz (7).

Jabłoński (16), Jacobson, Jałowiecki, Janicki, Janikowski, Jankowski (16), Jaroszyński, Jasiński (21), Jasnowski (3, w tym Józef

DYSKUSJE: CHRZEŚCIJAŃSKIE DEMOKRACJE

Szanowny Panie Redaktorze!

Wydaje mi się, że p. Jędrzej Giertych w swej odpowiedzi na mój list (ŻYCIE — 12.11.50) popełnił ponownie te same błędy w myśleniu. Mam na myśli jednostronność w grupowaniu elementów, na podstawie których p. Giertych buduje swe konkluzje, oraz arbitralne definiowanie pewnych złożonych terminów, co Mu pozwala na odpowiednie posługiwanie się nimi w toku swoich wywodów. Postaram się powyższe zarzuty uzasadnić w trakcie niniejszego listu.

Ruchowi chrześcijańsko-demokratycznemu we Francji poświęca p. Giertych dwa paragrafy. W pierwszym powołując się na nieautorytatywną i — jak sam przyznaje — przykładowo przejaskrawioną rozmowę z pewnym księdzem francuskim o sympatiach w stosunku do M.R.P., wysuwa p. Giertych tezę, M. R. P koncentruje się jednostronnie na zagadnieniach społecznych i że nie zdradza ona chęci uchwycenia władzy w swoje ręce.

Wydaje mi się, że to nie są główne cechy M.R.P. Francuski ruch chrześcijańsko-demokratyczny jest w chwili obecnej przede wszystkim arsenałem intelektualnym katolicyzmu. Będąc ugrupowaniem niedostatecznie silnym nie ma on szans objęcia władzy, tym bardziej, że antykatolickie inklinacje poważnej części społeczeństwa francuskiego są bardzo silne. Nie jest prawdą, że poświęca on mało uwagi zagadnieniom „sensu stricto" politycznym. Dla przykładu podam, że od końca wojny ruch ten kontroluje domenę polityki zagranicznej, którą cechuje o wiele większy realizm, niż politykę zagraniczną U.S.A. i W. Brytanii. Aby M. R. P. mógł przejść do ofensywy, musi on wpierw odrobić złe wrażenia, pozostawione po katolickiej prawicy francuskiej dziewiętnastego wieku.

W drugim paragrafie swego listu p. Giertych ponownie wraca do M. R.P. zarzucając jej oportunizm, naiwne próby „appeasementu" i „oglądanie się za tym, kto się będzie za Francję bił". Zarzuty te są częściowo słuszne. Jednakże tyczą się one wszystkich prawie nie komunistycznych stronnictw francuskich. Miękkość jest w czasach dzisiejszych narodową chorobą Francji, a nie zaś jej poszczególnych grup politycznych.

Sprawa druga — to fakt nieuważania przez p. Giertycha De Gasperiego, Schumana i Korfantego za typowych chrześcijańskich demokratów z tytułu ich przeszłych związków z ruchami narodowo-wyzwoleńczymi stref nadgranicznych krajów swego pochodzenia. W świetle tego ryzykownego uzasadnienia De Gasperi jest sam prawicowcem i przywódcą partii umiarkowano-prawicowej, Korfanty — to katolicki nacjonalista, Schuman zaś byłby alzackim nacjonalistą.

W tym miejscu chciałbym podkreślić mój poprzednio postawiony zarzut o arbitralności definicji p. Giertycha. Jeśli przyjmiemy, że patriota jest automatycznie nacjonalistą, to dalsza część wywodów p. Giertycha jest słuszna. Wątpię jednak, by z tego rodzaju definicją można się zgodzić. Słowo bowiem „nacjonalista" ma w sobie szowinistyczny posmak, dowodem czego najlepszym jest chociażby niepopularność określania się tym terminem we własnym obozie p. Giertych. Nie mógł zaś uważać wspomnianych trzech mężów stanu ze szowinistów. Na poparcie mego punktu widzenia dodam, że De Gasperi kilkakrotnie podkreślał swój niechętny stosunek do prawego skrzydła swej partii i że określił on ją emfatyczne jako „Un partito del Centro". Gdyby Korfanty był zdecydowanym prawicowcem, to wyciągnąłby on z tego konsekwencje w formie przejścia do obozu p. Giertycha. Co do Schumana — to zainteresowania jego skupiają się przede wszystkim na polityce zagranicznej. Nie mniej jednak jest on świadomie członkiem ugrupowania, które łączy etykę katolicką z radykalizmem. Nie jest więc ono prawicą. Światopogląd człowieka nie rodzi się w kołysce, lecz jest on produktem złożonych procesów. Dlatego też rzeczą pierwszorzędnej wagi jest fakt, że ludzie w rodzaju Schumana należą do danego ruchu i to się liczy przede wszystkim na konto danego ruchu i atrakcyjności jego programu.

Sądzę, że znam źródło nieporozumienia. P. Giertych najprawdopodobniej ułożył sobie wygodny schemat, według którego prawica katolicka składa się z ludzi prawych, nieugiętych i wielkich patriotów. Ruch zaś chrześcijańsko-społeczny — to zbiorowisko „poczciwych chwiejów" i internacjonalistów.

Bynajmniej mnie to nie przeraża. Przecież — biorąc skrajny przykład — zgodnie z terminologią komunistyczną świat dzieli się na „prężne siły proletariatu pod wodzą partii" i na „reakcyjne niedobitki gnijącego świata burżuazji". Wiele partii posiada w zapasie podobne schemaciki i z tego tytułu trudno się dziwić temu, że p. Giertych wpadł w popularną pułapkę.

Wróćmy wreszcie do jądra sporu t.j. do kwestii belgijskiej. Zgadzam się częściowo z p. Giertychem w tym, że rządowi belgijskiemu można zarzucić błędną taktykę rozegrania całej sprawy Leopolda. Pamiętać jednak należy, że decyzja abdykacji została przede wszystkim powzięta przez samego Leopolda. Obowiązkiem rządu chrześcijańsko-społecznego było przeprowadzenie wyborów i referendum oraz wykonania nakazów, płynących z ich absolutnych wyników w formie sprowadzenia Leopolda na tron. Do tego zobowiązała go konstytucja. Zarzuty należy przede wszystkim kierować w kierunku Leopolda, a nie rządu.

P. Giertych stara się z kolei udowodnić, że antagonizm walońsko-flamandzki nie wchodził w grę w sprawie Leopolda. Ośmielam się różnić w tym względzie. Oczywiście na pierwszym planie stał konflikt pomiędzy antyklerykalnymi socjalistami a katolickim królem. Zapomnieć jednak nie należy, że Spaakowi udało się w sposób demagogiczny wciągnąć nacjonalizm waloński na arenę sporu. Dlatego też bez względu na przyczynę tego faktu rząd musiał się z nim liczyć jako z poważnym elementem istniejącej sytuacji. Operowanie argumentem tego rodzaju, jak ten, że dwie dzielnice walońskie wypowiedziały się za Leopoldem a dwie przeciw, w celu wywołania wrażenia nieobecności antagonizmu walońsko-flamandzkiego w sprawie Leopolda — jest zręcznym, lecz niesłusznym pociągnięciem. Faktem jest, że na etnicznym terenie walońskim mieszka aż jedna trzecia ogółu flamandzkiej ludności Belgii *(vide: „International Affairs" — lipiec 1950)* — W cyfrach absolutnych przeważająca część Walonów głosowała przeciwko Leopoldowi.

Na zakończenie — p. Giertych zapytuje co znaczą moje (przyznaję nieco za silne) zwroty o „masach robotników ginących z głodu przy wtórze dewocyjnej paplaniny" oraz „szowiniźmie i nienawiści." Przykro mi, że nie mogę na to odpowiedzieć jednym zdaniem.

Jeszcze w moim pierwszym liście podkreślałem mocno, że powyższe zwroty nie tyczą się bezpośrednio ani p. Giertycha, ani też jego argumentów, lecz że były one pisane na ich marginesie.

Uwag tych nie rzucałem w powietrze. Były one przypomnieniem bardzo poważnych wykroczeń, popełnionych w przeszłości przez prawicę, określającą się jako katolicka. (Nie lubię tego określenia jako ryzykownego, rozgrzesza mnie jednak sam p. Giertych, który go używa.)

Mało kto zaprzeczy, że ośrodki polityczne, w ten sposób się określające, były w przeszłości ostoją konserwatyzmu najgorszego gatunku. Pod przykrywką katolicyzmu i „poszanowania dla sił prawa i porządku" tolerowano ucisk społeczny, wyzysk mas robotniczych, brak wolności obywatelskich, korupcję aparatu urzędniczego, oraz szowinizm najgorszego pokroju.

U podstaw istnienia ruchu chrześcijańsko-demokratycznego leży właśnie reakcja przeciw temu stanowi rzeczy, jako niezgodnemu z etyką katolicką.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że zarówno w przeszłości jak i obecnie posiadamy wiele wad. Dalecy jesteśmy od własnej apoteozy. Wydaje mi się jednak, że p. Giertych w swym krytycyźmie posunął się za daleko, że nie uwzględnił on okoliczności łagodzących i że nie wykazał on w sposób dostatecznie przekonywujący alternatywnych rozwiązań.

Czasami nie od rzeczy byłoby przypatrzenie się własnemu obozowi ideologicznemu, zanim zacznie się jednostronne krytykowanie drugich.

Z poważaniem
Franciszek Berka

*

Szanowny Panie Redaktorze!

Czas tę dyskusję skończyć. Nie będę — śladem p. Berki — zatrzymywać się nad zagadnieniem błędów w myśleniu, ograniczam się do zwięzłej odpowiedzi na punkty jedynie najważniejsze.

1) P. Berka ma najzupełniejszą rację twierdząc, że oportunizm M. R. P. jest przejawem stanu, w jakim się dziś Francja znajduje. Tak samo przecież i polityka Gil Roblesa była przejawem stanu, w jakim się w owej chwili znajdowała Hiszpania. Inne czasy przyniosą zapewne innych ludzi i inną politykę. Co do realizmu w polityce zagranicznej, to zgadzam się, że kierowana przez M. R. P. polityka zagraniczna Francji jest bardziej jeszcze realistyczna od polityki Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych — ale tylko o tyle, o ile postawimy znak równania między realizmem, a oportunizmem. Pan Bidault wcześniej jeszcze cofnął uznanie rządowi polskiemu w Londynie i uznał Bieruta, niż pp. Churchill i Truman. To było z pewnością realistyczne — ale czy na dalszą metę słuszne i politycznie roztropne? Nie mówiąc już o tym, czy jak na katolickiego polityka właściwe?

M.R.P. wciąż od lat pięciu zasiada w rządzie. Co przez to zdołała osiągnąć? Czy nagięła wewnętrznie lub zewnętrznie politykę Francji choć trochę w duchu z katolickiego stanowiska wskazanym? Rezultaty udziału M.R.P. w rządach są opłakane. Weźmy choćby dziedzinę szkolnictwa! Od dawna już katolickie szkolnictwo we Francji nie walczyło z tylu trudnościami i nie doznawało tylu szykan, żeby nie powiedzieć prześladowań, ze strony rządu, jak właśnie teraz, gdy w tym rządzie bierze wybitny udział stronnictwo katolickie. A przecież katolicyzm jako siła w społeczeństwie jest we Francji siłą znaczną, o wiele znaczniejszą niż się powszechnie sądzi. W oparciu o tę siłę, prowadząc politykę odważną i z charakterem, możnaby osiągnąć wiele. Niestety, politykom z M.R.P. brak jest właśnie przede wszystkim charakteru.

Nie wiem, co p. Berka nazywa „katolicką prawicą dziewiętnastego wieku" we Francji i o jakich „pozostawionych" przez nią „złych wrażeniach" mówi, pomijam więc ten punkt milczeniem.

2) Nikt nie przeczy, że De Gasperi, Korfanty i Schuman są politykami chrześcijańsko-demokratycznymi. Jest jednak faktem, że wyrośli oni i uformowali się nie w szkole chrześcijańsko-społecznej, lecz w szkole walki narodowej. P. Berka słusznie podkreśla, że „światopogląd człowieka nie rodzi się w kołysce, lecz jest produktem złożonych procesów." Widać doświadczenie udziału w innej całkiem szkole pracy i walki — właśnie w szkone narodowej, — dało tym trzem politykom jakieś właściwości charakteru i intelektu, których ich kolegom partyjnym było brak. Fakt to znamienny, że w trzech stronnictwach „chadeckich" trzech wielkich katolickich krajów ci trzej tak podobni do siebie ludzie wysunęli się na czoło, obejmując w tych stronnictwach komendę!

3) Za rozgrywkę belgijską ponosi główną odpowiedzialność nie Leopold, lecz politycy chrześcijańsko-społeczni, którzy tę rozgrywkę przeprowadzali.

4) P. Berka broni swego stanowiska atakiem przeciwko dawnym kierunkom politycznym konserwatywno-rojalistycznym. Nawiasowo mówiąc bardzo wątpliwie katolickim. (Ich stosunek do Kościoła katolickiego nieraz podobny był do stosunku kół rządowych angielskich do anglikanizmu). Ale ja przecież z kierunkami tymi nie mam i nigdy nie miałem nic wspólnego — i p. Berka o tym wie. Więc cóż to za chwyt polemiczny?

Kierunkiem, którego bronię jest katolicki kierunek narodowy, — jest to, co w jednej z moich broszur nazwałem, w braku lepszego określenia, nacjonalizmem chrześcijańskim.

Na zakończenie, pozwalam sobie wypowiedzieć jako z naciskiem powtarzany wniosek i caeterum censeo: że czasy są dziś takie, iż społeczeństwom i narodom katolickim potrzebni są dziś przywódcy i politycy uformowani z możliwie najtwardszego kruszcu. Przypominający raczej ludzi z epoki krucjat i kontrreformacji, niż ludzi w rodzaju pp. Gil Roblesa i Bidault, a choćby i niefortunnych niedawnych doradców Leopolda belgijskiego.

Jędrzej Giertych

Jasnowski z Podlasia, osiadły w Londynie), Jaworski (14), Jażdżewski, Jelenski, Jeżewski (5), Jędrzejewicz (3), Iliński, Jodko, Jordan, Iwanowski (7), Jundziłł, Kaczmarek, Kaczorowski (5), Kamieński (4), Kamiński (29), Kański, Karczewski (10), Karski, Karwowski, Kasprzycki, Kempiński, Kępiński, Kędzierski, Kiersnowski (4, w tym Ryszard Kiersnowski), Kierzkowski, Kirkor, Kisielewski (10), Kisielnicki, Kleczkowski, Komarnicki, Komorowski (4), Korczyński, Korewa, Korsak, Korycki (3), Korytowski (2), Kościałkowski, Kossak, Kosowski i Kossowski (11), Kot, Kotkowski, Kotowicz, Kowalewski (10), Kowalski (39), Koziełł, Kozłowski (30), Kraczkiewicz, Krajewski (7), Krasicki, Kryński, Kuncewicz, Kunicki, Kwiatkowski (16), Kwieciński (2).

Laskowski (5), Lenartowicz, Lipski (8), Lisiewicz, Łada, Łącki, Łęski, Łubieński, Łuczak, Łukasiewicz (2), Łukaszewicz (2), Mackiewicz, Majewski (12), Makowski (7), Malinowski (25), Markowski, Matuszewski, Mayer, Mazurkiewicz, Mękarski, Michalski (9), Mniszek, Moczulski(3), Modelski, Morawski (11), Moszczeński, Mościcki, Muśnicki, Mycielski, Nagórski, Neiman, Nowacki, Nowak (6), Nowakowski (14), Nowosad, Obertyński, Olszewski (15), Orłowski, Osmolski, Ostrowski (24).

Pacewicz, Paprocki, Paschalski, Paszkiewicz (14), Paszkowski, Pawlikowski (4), Pawłowicz, Piątkowski, Pilichowski, Piłsudzki, Piotrowski (33), Piwowarski (2), Podhorodeński, Poklenkowski, Popiel, Potocki (14), Potulicki, Poznański, Przedpełski (3), Pusłowski, Puławski (2), Raczkowski, Raczyński (5), Radecki (2), Rajecki, Rakowski, Rembieliński (2), Rogoziński, Rokicki, Romer, Rose, Rostworowski, Rożański (3), Rudnicki, Rudzki, Ruppert, Rybiński, Rzewuski (9),

Sawicki (11), Sidorowicz, Sikorski (3), Skalski, Skarzyński (9), Skiwski, Sławiński (6), Słomiński, Sobański (2), Sochaczewski (2), Sokolnicki, Sokołowski (20), Sopoćko, Stanisławski, Staniszewski, Starzewski, Starzyński, Stempowski, Strzałkowski, Stypułkowski (2), Sulikowski, Sulimierski (2), Suski, Święcicki, Szczepanowski (5), Szymański (14), Tarnowski (2), Terlecki (6), Tokarski, Tomaszewski (17), Trzciński, Twardowski, Tyszkiewicz (3), Ulatowski (3).

Wasilewski (15), Włoszczewski, Wolski (19), Woyciechowski (19), Wszelaki, Wyszyński, Zabłocki (4), Zaborski (3), Zagórski, Zając, Zajączkowski, Zakrzewski (10), Zaleski (1), Zalewski (18), Zamoyski (2), Zaremba lub Zaręba (7), Zawadzki (19), Zawisza (3), Zbyszewski (2), Zieliński (18), Żaba (5), Żarnowski, Żeromski, Żółtowski, Żórawski, Żychoń.

* * *

Jak wynika z ,,Almanachu'' Krosnowskiego, w ciągu lat piętnastu, od roku 1832 - 1846, zmarło nieco więcej niż 9% ogółu emigrantów. Później żniwo śmierci stawało się z roku na rok obfitsze. Stosunkowo wielu jednak z emigrantów dożyło późnego wieku; najstarszy z nich, Józef Kownacki, rodem z Płocka, zmarł we Francji w r. 1908, przeżywszy lat 103 [2]).

Nie wszyscy emigranci złożyli kości swe na obcej ziemi. Pewna, niezbyt duża zresztą, ilość skorzystała z ,,amnestii'', ogłoszonej przez cara Aleksandra II po wojnie krymskiej, i wróciła do Królestwa. Niektórzy inni osiedli na starość w Poznańskim (jak Stanisław Koźmian), lub zwłaszcza w Galicji, w której ucisk germanizacyjny stopniowo łagodniał. Należał do nich gen. Dwernicki, zwycięzca spod Stoczka, później jeden z popularnych przywódców emigracyjnych, przez pewien czas przewodniczący Komitetu Ogółu Emigracji Polskiej w Londynie.

Drugie wydanie ,,Almanachu'' Krosnowskiego ukazało się już u schyłku najświetniejszego okresu Wielkiej Emigracji. Stopniowo wyczerpywał się potężny ładunek dynamizmu, jakim obdarzone było to wspaniałe, choć często błądzące w swych koncepcjach i planach, pokolenie. Napływający po r. 1848 nowi emigranci, uczestnicy ruchów rewolucyjnych w kraju i powstania węgierskiego, dużo zresztą mniej liczni, nie zdołali dotrzymać kroku swym schodzącym stopniowo z pola poprzednikom. W dziedzinie myśli i sztuki wyjątek stanowiła zdumiewająca twórczość Cypriana Norwida, przybyłego zresztą na Zachód o kilka lat wcześniej.

Bogusław Przeradzki

2) Autor ,,Almanachu'' Tabasz Krosnowski zmarł w Paryżu w r. 1875.

AUGUSTYN STEFFEN

NASZE NAZWY ŚWIĄTECZNE

DNIE od Bożego Narodzenia do Trzech Króli nazywano w dawnej Polsce *godami*, co Polacy w Prusach Książęcych i na Litwie kowieńskiej ograniczyli do świąt Bożego Narodzenia, gdyż wyraz *god*, który pierwotnie oznaczał ,,czas'' i ,,porę'', przenosił się chętnie na ,,święto'' i ,,uroczystość''. Przenosił się on chętnie i na ,,ucztę'', dlatego już najstarsze przekłady biblii mówią o *godach weselnych*, co tam ,,ucztę w Kanie Galilejskiej'' oznacza, a wyrazy *godować*, *godowanie*, *godownik* w znaczeniu ,,ucztować, ucztowanie, biesiadnik'' występują w zabytkach języka staropolskiego równie często, jak przymiotnikowe określenia *dom godny*, *szaty godowe* itp. I odwrotnie: kaszubskie i łużyckie *godnik*, co oznacza ,,grudzień'', zostało przeniesione z święta Bożego Narodzenia na ,,porę'' — na miesiąc, w którym te święta występują. Wielkopolanie, Pomorzanie i Kaszubi zwykli nazywać święta Bożego Narodzenia *gwiazdką*, co ma związek z zwyczajem ,,pierwszej gwiazdki'' wieczoru wigilijnego.

Z *godami* czyli *gwiazdką* związany jest kościelny zwyczaj ,,żłóbka'' i ,,szopki'', którego nie znali nasi przodkowie, co zamienili pogański zabobon na wiarę chrześcijańską, ani liczne pokolenia, które po nich bytowały w Polsce. Zwyczaj ten zaczyna się szerzyć w XV wieku; twórcami jego są Franciszkanie i Bernardyni, którzy i dzisiaj uchodzą za mistrzów w urządzaniu żłóbka.

Żłóbek i szopka utorowały drogę *kolędom*, śpiewanym opowiadaniom o postaciach biblijnych, o trzech królach, Herodzie itd. Nazwa sama jest pogańska związana była z życzeniami noworocznymi szczęścia, dostatku itp. i wyrazem z pochodzenia łacińskim, *calendae*, oznaczającym ,,pierwsze dni miesiąca''. Do Słowian przenikał ten wyraz za pośrednictwem ludów bałkańskich, które ograniczyły jego znaczenie do ,,Nowego Roku'' (w jęz. staro-cerkiewno-słowiańskim *kolęda* to ,,dzień noworoczny''). Litwini, których nawróciła Polska Jagiellonów, związali go z świętami Bożego Narodzenia, zwanymi tam *Kaledos*. Nazwa *kolęda*, gładka i elastyczna, przerzucała się także na ,,dary'', stąd *chodzić po kolędzie*.

Zwyczaj ,,choinki'', bodaj najmłodszy, przyszedł z Niemiec, gdzie się rozpowszechnił dopiero w XVIII wieku. *Choinka* to nazwa ogólnopolska; na zachodzie polskiego obszaru językowego przyjęło się *drzewko*, co niewątpliwie pochodzi z przekładu niem. *(Tannen) baum.* U starych Kaszubów zamiast *drzewko* słyszy się *Boże drzewko.* U Polaków w Prusach Książęcych zwyciężyła *eglia*, bałtycka nazwa dla ,,świerku'' i ,,jodły''. Może i rację mają tamtejsi Polacy: dlatego nazywać zwyczaj ,,choinką'', jeśli używamy świerku?

Wilia, nazwa wieczerzy, jest ściągnięciem łacińskiego wyrazu *vigilia*, którego znaczeniem ,,czuwanie''. Przed wieczerzą wilijną dzielimy się *opłatkiem*, rzeczą, której nazwa pochodzi z języka łacińskiego *(oblata!)*, gdzie oznaczała ,,ofiarowanie''. Nasi przodkowie nazywali opłatek *hostią*, co się jeszcze na Kaszubach słyszy. Przyczyna utrzymania się starej nazwy na tym obszarze jest jasna: kaszubskie opłatki są okrągłe, nie różniące się od hostii, i rozdawane są w kościele.

Na wschodniej połaci obowiązuje *kucia*, potrawa z rozgotowanej pszennej mąki, maku i miodu. Nazwę narzuciła Grecja, gdzie brzmiała *kukkia.* Ale greckie *kukkia* to ,,bób'', który i dziś gra znaczną rolę w obrzędowości. Na Cyprze dawano go nam przed kościołem i, o ile mnie pamięć nie zawodzi, też w okresie Bożego Narodzenia, obchodzonego tam później.

Zwyczaj ,,św. Mikołaja'' przelewa się z Rusi, gdzie kult tego Świętego wiązał ongiś strzechę z pałacem w uroczystych obchodach i gdzie pełno jest Mikołajów w imiennictwie. Ogniskiem tego kultu była Grecja. Greckie jest też imię Świętego: *Nikolaos.* Na zachodzie (Wielkopolska, Pomorze) św. Mikołaja zastępował *gwiazdor.* Nazwa *gwiazdor* od *gwiazdki*, jak niem. *Weihnachtsmann* od *Weihtnachten.* Na Warmii ,,Pan Bóg'' występuje w roli św. Mikołaja i, podobnie jak *gwiazdor*, w noc wigilijną. Zwyczaj ,,św. Mikołaja'' nie jest tam znany. I Mikołajów nie ma na Warmii. Imię Marcin Warmiacy wyrugowali ze względu na Marcina Luthra; dlaczego zarzucili imię Mikołaj, trudno określić. Ale w dawnych czasach, jak wykazują księgi kościelne, było ono nawet lubiane. Istnieją też ślady kultu tego Świętego. Święty Mikołaj jest patronem barokowego kościoła w Sząbruku. Jeden z trzech dzwonów, zdjęty podczas pierwszej wojny światowej na stop, nosił imię tego Świętego, a bajeczka w jego głosie słyszała nawet słowa: ,,Mikołaju, pójdź do raju!''

Z ,,gwiazdką'' związany jest zwyczaj podrzucania dzieciom podarków. Wśród darów, które z nieba spadały na dzieci w noc wigilijną, były *katarzynki* i *begle*. *Katarzynki* to pierniki toruńskie, znane już Kochanowskiemu, który wytykał je między swoje ,,Fraszki''. Wypiekały je pierwotnie zakonnice (Katarzynki) przy kościele św. Katarzyny w Toruniu. *Begle* to miejscowa (warmijska) nazwa dla pierników talarkowatych i imitujących księżyc w różnych jego fazach. Niektóre miały dziurki (piernik z dziurką!). Nazwa tych pierników pochodzi z niemieckiego słownictwa, gdzie *Bögel* oznaczało ,,łuk''. Znana była Żydom w Polsce, a nam ich zalecanie pieczywa: ,,bajgele— bajgele..'' Pierniki, które przypominały swoim kształtem powierzchnię szosy, zbudowanej z ,,kocich łbów'', Kaszubi nazywają *brukowcami*, co jest przekładem z niem. *Steinpflaster*. Wyrabiała je Toruńska Fabryka Pierników, której właścicielem był niegdyś Niemiec (Thomas).

Augustyn Steffen

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

TAK SAMO...

— I położyła go w żłobie bo nie było dla nich miejsca w gospodzie.

ŚW. ŁUK. 2, 1—21.

Mogło się — za pokoju —
zdarzyć w slumsie londyńskim,
lub — za wojny — na sybirskim noclegu
pod Minusińskiem.
Pariasowe drogi ciągle się mnożą,
ze Bóg, jeśli chce, może
wybrać którąś, pierwszą lepszą z brzegu,
i dziś.

Gmatwałaby się myśl
Matki, pełna złych przeczuć:
— Oblekłam cię, Syneczku,
w życie, jak tu życiu zaprzeczyć...
Bó! matczyny, położony na serce kwiat,
pęd za pędem puszczałby cichutko,
i leciałyby lata, krótkie,
trzydzieści trzy strzały — w świat.

Nie zaszłaby żadna zmiana,
gdyby to był — w nasze czasy młody robotnik,
do fabryki co rano
kupujący w tramwaju bilet,
kowal ze wsi albo i — żołnierz,
mierzący marszem mile.
Nie zaniedbywałby, o napewno,
i to samo mówił i czynił,
miał uczniów i wyznawców,
tak samo by —
,,porządkowi społecznemu'' — zawinił,
i znalazłby tak samo
doskonale okrutnych —
sędziów swych i — oprawców.

Nie odstało się nic
i ponawia się co dnia
tło zdarzeń nieodmiennych,
jak my —
od chwili kiedyś wesnuł się w ekran
Zamyślony Przechodniu.

Spod szubienic, bud jarmarcznych i kramów
wyciągają się krwawe ręce,
skamlą strachem
rozdygotane ulice — —

A Twój Anioł,
który groty Twej — już pustej — strzegł,
ma w oczach — błyskawice — —
Tak samo...

— ,,A szaty jego białe,
jak śnieg.''

NOWE FILMY

,,ŁADNE DZIECKO''

,,Pretty Baby''

Kino: Warner Theatre. *Produkcja:* Warner Bros. *Scenariusz:* Everett Freeman i Harry Kurnitz. *Reżyser:* B. Windust.

BEZPRETENSJONALNA, miła komedia, oparta głównie na humorze sytuacyjnym i komizmie charakterów. Betsy Drake, młoda biuralistka zatrudniona w agencji ogłoszeniowej, odkrywa, że najlepszym sposobem zdobywania miejsca w nowojorskim metro jest noszenie na ręku małego dziecka; zaopatruje się w dużą lalkę, wozi ją z sobą, a wszyscy ustępują jej miejsca. Spotkany przez nią przypadkowo (i nieznany jej osobiście) fabrykant odżywek dla dzieci (Edmund Gween) dowiaduje się, że ,,dziecko'' zostało ochrzczone na jego cześć imieniem Cyrus. Starszy pan dostaje coś w rodzaju delirium sentymentalno - ambicjonalnego, z czego wynikają zabawne komplikacje. Byt firmy zatrudniającej Betsy jest najpierw zagrożony, potem uratowany, gdyż choleryczny fabrykant jest jej głównym klientem i reguluje zamówienia według losów domniemanego ,,dziecka'': raz się wścieka, to znów rozczula na myśl o małym Cyrusie i jego miłej matce. Betsy Drake z dużym wdziękiem i swadą zagrała główną rolę udawadniając, że brak wybitnej urody nie musi być przeszkodą w karierze filmowej, jeśli ma się żywiołowy talent. W roli szefów Betsy wystąpili poprawnie Denis Morgan i Zachary Scott. Zaletą filmu jest dobre tempo.

,NIEBEZPIECZNA AFERA'

,,Highly Dangerous''

Kino: Leicester Square. *Produkcja:* ,,Two Cities'' (bryt.). *Scenariusz:* Eric Ambler. *Reżyser:* Roy Baker.

JAK się okazuje, stosowana w państwach sowieckich technika preparowania więźniów za pomocą zastrzyków rozkładających wolę — nie jest bynajmniej groźna. Bohaterka filmu (Margaret Lockwood), schwytana za żelazną kurtyną w charakterze agentki brytyjskiego wywiadu, której polecono wykraść próbki naukowe z laboratorium bakteriologicznego, otrzymuje aż trzy potężne zastrzyki tego rodzaju, ale bynajmniej się nie załamuje. Przeciwnie: groźny płk. Raziński (Marius Goring) szef tajnej policji, wypuszcza ją na wolność już następnego dnia po nieudanym badaniu trzeciego czy czwartego stopnia i każe jej tylko wynosić się w ciągu 24 godzin z tego kraju, stylizowanego trochę na Polskę. Mimo to dzielna panna Lockwood, przy wydatnej pomocy bardzo odważnego Amerykanina (Dane Clarka) wdziera się do strefy zakazanej, podpala las i odwróciwszy w ten sposób uwagę batalionu strażniczego, którego dowódca gra sobie w szachy z leniwym dyrektorem instytutu naukowego, zdobywa owe próbki, po czym oboje — w przebraniu chłopskim — uciekają do Anglii, aby się kochać. Cała ta historia odbyła się w ciągu 48 godzin, bez żadnego przygotowania i prawie bez kosztów. Oto jak działa (na filmie) słynne M.I. 5! Producenci z pewnością liczyli na ciemność na sali: ogłupia ona widza i pozwala łatwiej zapomnieć o aferze Fuksa i o ucieczce poczciwego Pontecorvo. Po wypiciu paru double'ów, w nastroju beztroskim i optymistycznym można bez znudzenia obejrzeć tę bajkę, nakręconą w przyjemnym tempie i dobrze graną. **(sp)**

JAN WEPSIĘĆ

WALKA ZE ŚWIĘTAMI

PURYTANIZM wniósł w życie angielskie chłód i surowość, które pozostały wyraźnymi znamionami po dzień dzisiejszy, szczególnie w Szkocji. Wystawne, okazałe i huczne obchodzenie świąt Bożego Narodzenia przez katolików wydawało się purytanom przekroczeniem przykazania o święceniu niedzieli, którą chcieli obchodzić na sposób żydowskiego sabbatu: cicho i surowo. Jak miało to wyglądać w praktyce, może w pewnej mierze świadczyć o tym dwuwiersz o purytaninie z Branbury, który tak był zgorszony tym, że jego kot udusił mysz w niedzielę, że za karę za złamanie święta zabił go w poniedziałek.

Purytanie odczuwając ciążącą nad ówczesnym życiem siłę tradycji obchodzenia Bożego Narodzenia, z tym większą wystąpili zaciętością. Walkę tę prowadzili na dwu drogach: w formie literackiej i, w okresie dojścia do władzy Cromwella, przy pomocy zarządzeń władz komunalnych i uchwał Parlamentu.

Walkę piórem zaczął P. Stubbes książką p. t. „The Anatomie of Abuses" (Anatomia nadużyć), wydaną w r. 1583, tj. za Elżbiety, która lubowała się w okazałości nabożeństw. By uchronić się od zarzutów, autor zmyślił wyspę Ailgna, co jest tylko anagramem, t. j. przestawieniem liter w wyrazie Anglia. Książka jest napisana w formie dialogu, w którym biorą udział: Spudeus i Philoponus, opisujący znane Anglikom zwyczaje. Wybór jest charakterystyczny. Są to zwyczaje, które zwalczali purytanie. Stubbes chciałby uczcić święto Bożego Narodzenia przez ciche rozmyślanie. Dlatego w jego oczach świąteczne przedstawienia w maskach czy pantominy nie znajdują ani pobłażania ani usprawiedliwienia, co więcej zostały uznane za znieważenie Boga.

Znacznie ostrzej wystąpił przeciw tradycyjnemu obchodzeniu Bożego Narodzenia inny purytanin, uzbrojony w tysiące cytatów z najróżnorodniejszych źródeł, barrister William Prynne, który w wydanej w r. 1633 prawie 1000 stron liczącej książce pod dość długim, bo dwie trzecie strony quarto zajmującym tytułem: „Histrio Mastix..." przypominającym w stylu „Ateny Wołyńskie" Benedykta Chmielowskiego. Prynne dowodził, że wszelkie przedstawienia dramatyczne, włączając w nie i przedstawienia związane ze świętem Bożego Narodzenia, są wymysłem samego szatana, który w ten sposób łowi dusze ludzkie. Owo potępienie uzasadniał Prynne cytatami ze źródeł, które wylicza w tytule książki: Pismo Święte, uchwały 55 synodów i soborów, 71 ojców Kościoła i chrześcijańskich pisarzy sprzed r. 1200, 150 protestanckich i rzymsko-katolickich autorów, żyjących po r. 1200, 40 filozofów, historyków, poetów zarówno chrześcijańskich jak i pogańskich. Książka ta była dla purytan kopalnią pseudo-argumentów i cytatów. Autor odpokutował dotkliwie z powodu narażenia się królowej. Został pozbawiony urzędu barristera, uwięziony, dwukrotnie postawiony pod pręgierzem i skazany na obcięcie uszu. Wszystko to z purytańską sumiennością wykonano.

Tak Stubbes jak i Prynne występowali jedynie przeciw zwyczajom. Przeciw świętu Bożego Narodzenia wystąpił Hezekiah Woodward w broszurze p. t. „Christmas Day", wydanej w r. 1658. Woodward widział w święcie Bożego Narodzenia kontynuację pogańskiego święta ku czci Saturna i określał je mianem „papieskiego" zabobonu. Oburzał się, jak mogło być obchodzone przez chrześcijan, skoro poganom przynosiło wstyd. Streśćmy po krótce wywód autora dowodzącego, że nie ma uzasadnienia, by obchodzić Boże Narodzenie. Pismo Św. nie dostarcza żadnego dowodu na jego ustanowienie. A jeśli nie ma Bożego postanowienia, to widocznie nie leżało ono w zamiarach Bożych, a więc ludzie nie mają prawa ustanawiać go. Należy czynić tylko to i tyle, co jest nakazane w Piśmie Św. Czynienie czy mniej czy więcej jest rzeczą złą. Dalej, wywodzi autor, ustanowienie dnia poświęconego narodzeniu się Syna Bożego byłoby przeciwne samej religii, bo wtedy Syn Boży odbierałby większą cześć niż Bóg Ojciec, Innym argumentem przeciw temu świętu jest to, że ustanowienie dnia poświęconego narodzeniu się Jezusa wymagałoby wprowadzenia świąt, w których czcilibyśmy i inne wydarzenia z życia i działalności Jezusa, np. wstąpienie do nieba i t. d. Spowodowałoby to dzielenie dzieła Odkupienia na części, podczas gdy jest ono jednym wielkim niepodzielnym dziełem. Ostateczny więc wniosek, który wyciąga Woodward, jest, że jedynym świętem ustanowionym przez Boga jest niedziela; nie powinno obchodzić się Bożego Narodzenia.

Drugą formą walki ze świętem B. N. były zarządzenia władz komunalnych a w okresie protektoratu Cromwella i także uchwały Parlamentu.

Walka w tej formie zaczęła się w Szkocji. Wydane przez zgromadzenie wiernych w Glasgowie zarządzenia zmierzały do tego, by usunąć z obchodu święta zwyczaje, wywołujące radość i wiążące się z zabawą. Niektórzy jednak wierni, przywiązani do tradycji, nie zastosowali się do tych zarządzeń w dniu Bożego Narodzenia 1583 r. Zgromadzenie wiernych zwołane następnego dnia nałożyło pokutę na pięć osób winnych niezastosowania się do zarządzeń. W latach następnych zarządzenia te przypomniano.

W okresie Cromwella walka ta zaostrzyła się. Już w r. 1644 Parlament zarządził miesięczny post w okresie Bożego Narodzenia. W r. 1652 Parlament zniósł w ogóle to święto.

Purytańskie zarządzenia, odrzucające tradycję obchodzenia święta Bożego Narodzenia, sprawiały władzom komunalnym niezwykle wiele kłopotu na skutek niestosowania się wiernych do zarządzeń. Tak np. mayor Canterbury zarządził otwarcie sklepów w dniu Bożego Narodzenia. Właściciele niektórych sklepów wykonali zarządzenie, ale spowodowało to rozruchy, w wyniku których zamknięto wszystkie sklepy.

Oczywiście walka ta miała wielokrotnie przebieg spokojny, angielski. Londyńczyk Evelyn opowiada, że w r. 1657 on i kilku jeszcze innych obchodziło święta po dawnemu. Władze, które dowiedziały się o tym, pozwoliły oczywiście na dokończenie nabożeństwa i udzielanie komunii wiernym. Dopiero po zakończeniu ceremonii aresztowano ich.

Walka purytanów z świętem Bożego Narodzenia nie była ani powszechna ani nie trwała długo, bo zakończyła się z przywróceniem monarchii w r. 1660.

Działalność ich była jednym z czynników, które przyśpieszyły zanik wielu zwyczajów. Nic więc dziwnego, że obchodzenie świąt B. N. w okresie po-cromwellowskim różni się jednak wiele od świąt z czasów Henryka VIII czy Elżbiety. Wolne od prześladowań święto przybrało formę, jaką odnajdujemy w Dickensa: „Pickwick Papers" czy „Christmas Carol".

Jan Wepsięć

Mszą św. o północy zaczniemy Nowy Rok

W tym roku, jak i w poprzednim, Ojciec św. zarządził, aby we wszystkich kościołach katolickich w dniu 31 grudnia o północy została odprawiona Msza św. Celem tego nabożeństwa jest złączenie wszystkich katolików w modlitwie o pokój.

W czasie tej Mszy św. o północy wierni mogą przystąpić do Komunii św. pod warunkiem, że zachowają post od godz 24 i spędzą na modlitwie (łącznie z uczestnictwem we Mszy św.) conajmniej dwie godziny, kierując swe modlitwy w szczególności do Matki Bożej.

Dekret papieski mówi, że w tych modłach należy prosić Boga o odpuszczenie grzechów i błagać o pomoc dla świata w tak ważnej i odpowiedniej chwili.

BEATA OBERTYŃSKA

Cud osobliwy

O! cudzie osobliwy betlejemskiej nocy!
Przez aniołów srebrzyste owiewana chóry,
głębio wiecznych tajemnic!
Pełnio bożych mocy,
które będąc na końcu
były przed początkiem!

Oto w całej potędze boskość Twej natury
wszechmogąca — a tylko w sile wstrzymywana —
tai się w tamtej, ludzkiej,
co cicho Dzieciątkiem
śpi oto na wiązce siana...

*

Betlejemskie młodzianki

Wycięta
w przededniu święta,
stłoczona po rogach ulicy
jędrna gęstwo zabitej świerczyny!

Drzewka nieletnie!
Zapachem dziecińswa tchnące
i żywicy. —
O! bez winy
pomordowane niemowlęta!

Życzenia Akcji Katolickiej

Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii składa najserdeczniejsze życzenia świąteczne i noworoczne Przewielebnemu Duchowieństwu z Najdostojniejszym Opiekunem uchodźstwa polskiego, J. E. Księdzem Biskupem J. Gawliną na czele, Członkom Rady, Zarządów i Komisyj, Członkom Wspierającym, Członkom Oddziałów i Kół, wszystkim drogim Przodownikom i Przyjaciołom, oraz współdziałającym Organizacjom i Czasopismom.

Obyśmy modlitwą złączeni znaleźli u żłobka Boskiego Odkupiciela ducha prawdziwej pobożności, która jest celem istnienia i środkiem działania Akcji Katolickiej.

Obyśmy przystępując jak najczęściej do Stołu Pańskiego, zrozumieli czym tu jesteśmy i jak mamy pracować. Abyśmy sobie uprzytomnili, że Akcja Katolicka nie jest tylko grupką osób dobrej woli, która pragnie się doskonalić, nie jest też jedną z instytucji opieki społecznej, ani organem walki z komunizmem czy innym wrogiem, abyśmy w sobie poczuli, że jest ona wielkim ruchem odrodzeniowym dla starego, sponiewieranego w pogaństwie świata. Jest udziałem nas świeckich w hierarchicznym Apostolstwie Kościoła. Życzymy więc sobie wzajemnie żarliwej pobożności, abyśmy mówiąc w adwencie „Pan jest blisko", mogli u stóp Świętej Rodziny powiedzieć z całą pokorą i wielką radością „Pan jest w nas."

NA MARGINESIE

KRÓLIK DOŚWIADCZALNY

PRZODUJĄCE pod względem kultury i gospodarczego rozwoju kraje Zachodniej Europy przekonały się w Strasburgu, jak daleka jest droga do Federacji. Samą ideę na jakiś czas przestano forytować, wypowiedziano się natomiast za tworzeniem związków o typie funkcjonalnym a więc polegającym na łączeniu pod wspólnym zwierzchnim kierownictwem pewnych dziedzin ludzkiej przedsiębiorczości. Tak na przykład po zrealizowaniu planu Schumana przyjść może kolej na komunikacje czy rolnictwo. Może tą drogą, powiadają mężowie stanu, dojdziemy kiedyś do Federacji.

Trochę inny system ma być zastosowany w Afryce. Komitet Zgromadzenia Narodów powołany do rozstrzygania o przyszłości Erytrei zalecił połączyć ją z Etiopią w związku federalnym. Dlaczego Erytrea ma być tym królikiem doświadczalnym dowiadujemy się z opinii w tej sprawie brytyjskiego delegata Sir Frank'a Soskice, iż „Erytrea na skutek swego zacofania tak samo nie jest w stanie się sama rządzić, jak nie może dokonać wyborów do Zgromadzenia".

Nareszcie wiemy, co wpłynąć może na dojrzewanie wśród państw procesów federalistycznych.

Od Redakcji

Następny numer ŻYCIA ukaże się w tygodniu po Nowym Roku z datą 7 stycznia 1951 jako nr 1 w V roku wydawnictwa.

Wraz z tym numerem Czytelnicy otrzymają jako premię KALENDARZ ŚCIENNY NA ROK 1951.

PO ŁEPKACH

MOWA PRZED CZASEM

KSIĘŻE Prałacie, Nieobecni Panowie Ministrowie, Wysocy Juryci, Panie i Panowie!

Jest tylko jedno jedyne prawo, w imię którego zabieram głos na dzisiejszej uroczystości, ale prawo to jest mocne i nawskróś polskie, posiadające odwieczną tradycję, prawo, które ukształtowało duszę narodową i dobry kawał naszych dziejów. Jest to prawo kaduka.

Wiem, że jest już po niewczasie, albowiem Katolickie Nagrody Literackie zostały już wręczone. Wysokie Jury dokonało gruntownego przeglądu współczesnej polskiej twórczości piśmienniczej i wyłowiło z podwójnej talii niepospolitych i obiecujących talentów sześć asów. Oto one, czy raczej biorąc pod uwagę, że są to istoty żywe — oni:

1) Nagrodzony za ogólną działalność literacką poeta. Język jego jędrny i on to najgłębiej wyraził tragedię narodu od 1 stycznia 1946 do 3 maja 1951. Pięć lat tragicznej jędrności. Bawił przez te smutne lata kolejno w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku. Dotykał najczulszych stron i strun narodowej lutni. Wszędzie, gdzie się znalazł, widział Wisłę i Zamek.

2) Laureat nagrody młodych — obiecujący poeta. Opisał wierszem tragedię polską, zamkniętą w datach 1 — 17 września 1939. Zaczął pisać wierszem na wieść o wkroczeniu wojsk sowieckich na terytorium Polski. Poeta ten zapewne już więcej wiele nie napisze, gdyż ma lat 70, ale tego, co nam dał, nikt nam nie odbierze.

3) Nagrodę za ukończone dzieło literackie, nadesłane w rękopisie otrzymał autor zbiorku p.t. „Biało-czerwone poematy". Pisarz ten potrąca struny Danta („Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło..."), każe nam myśleć o Szekspirze, a sam nie rozstaje się z trzema wieszczami (w skróconym wydaniu krytycznym Manfreda Kridla). Zbiór jego, zakrojony na dwanaście ksiąg trzynastozgłoskowcem, jest jeszcze nie ukończony. Poeta doszedł do połowy pierwszej księgi. Wartość literacka tej pierwszej połówki nie jest jeszcze najlepszej wody, ale zato poeta przeszedł łagier w Kandałakszy i podchorążówkę w Szachrizjabs.

4) Czwartym asem, który dokonał historycznego tłumaczenia pierwszego aktu „Mordu w katedrze" T. S. Eliota białym wierszem, jest laureat trzech nagród miasta Łodzi i jednej Skierniewic — poeta, którego nazwisko jako dramaturga znane było Marii Przybyłko Potockiej i smakoszom teatru w ostatnim dziesięcioleciu przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Eliot, proszę Państwa, nie jest wprawdzie katolikiem, ale zapewne nim będzie, zatem wobec faktu, że do rąk Jury napłynął jeszcze poza tym tylko przekład Rubajatów Omar Khayama, nagrodę za przekład obcego dzieła katolickiego przyznano za „Mord". Niech nikt nie sądzi, że poeta tłumaczył niewolniczo! Jego Mord jest czymś więcej, niż „Mord w katedrze".

5) Nagrodę za działalność publicystyczną w duchu programowo katolickim otrzymał autor świetnego zbiorku wierszy p.t. „Sen sprawiedliwych". Cięte jego pióro podpisało dwa artykuły katolickie z ducha: „O obyczajach ludu w dniu wigilii" i „O posłannictwie polskiej emigracji".

6) Za dzieło naukowe z zakresu humanistyki nagroda przyznaną nie została, gdyż nikt pracy takiej nie nadesłał. Ale wobec faktu, że do Jury nadeszło sto tomików poetyckich i że poetom mogłaby się stać krzywda, postanowiono przyznać dodatkową nagrodę poetycką. Otrzymuje ją Szaweł piśmiennictwa emigracyjnego, który niedawno z NiD-u przeszedł do Stronnictwa Pracy.

Oto sześciu laureatów, którzy natchnionym swym słowem roznieśli imię Polski daleko poza granice Kraju. Warto dodać, że nagrodę Kompanii Wartowniczych w tym roku otrzymało trzech poetów, że „Wiadomości Polskie" w Szwecji regulaminowo przewidziały nagrodę dla poety a Stowarzyszenie Polskich Kombatantów nagrodziło tomik p.t. „Na kombatancką nutę". Nagrody literackie są zatem wielkim triumfem polskiej poezji.

Dodam jeszcze, iż jestem niezmiernie dumny, że liczba nagrodzonych oficerów zawodowych od zeszłego roku wzrosła dwukrotnie. W ogóle nagrody przyznane zostały tak, aby objąć wszystkie rodzaje broni. Laureaci nasi krążą wśród poezji z wielką spostrzegawczością szarżując na wszystkie rytmy i rymy z fantazją iście kawaleryjską.

Znajduje się co prawda na emigracji również kilku prozaików. Twórczość ich stoi na pograniczu literatury: Teodor Parnicki, który nawet w pewnym sensie, poniekąd i niejako jest pisarzem katolickim, choć nie tak jędrnym jak nasi poeci. Podobno jeszcze żyje Herminia Naglerowa, również autorka pisząca prozą. Dochodzą słuchy, że pióro na naczynie kuchenne zmienił Ferdynand Goetel. Przebąkują coś o Zofii Kossak i Melchiorze Wańkowiczu, ale pisarze ci nie wchodzą w rachubę, gdyż utwory ich ukazywały się w „Tygodniku Powszechnym". Przeciwstawili się więc zdrowej dewizie kulturalnej: „Emigracja dla emigrantów!" Józef Czapski rokuje piękne nadzieje, ale także nie był tego zdania. O Zygmuncie Nowakowskim nie wspominam, chociaż felietony jego posiadają niejeden utajony akcent katolicki, a w „Gałązce rozmarynu" śpiewa się nawet kolędę.

Młodych już wielu nie ma. Cała pociecha, że nam zostali starzy. Dramat Jerzego Pietrkiewicza „Sami swoi" jest z ducha niekatolicki. Na scenie bowiem występuje pijany policjant. Ktoś rzucił nazwisko Andrzeja Bobkowskiego. Ależ, czcigodni słuchacze! Wysokie Jury nie mogło przydzielać nagród za utwory nieprzeczytane. Poza tym cóż ten pisarz ma wspólnego z polską tragedią? On sobie po prostu — pisze. On wcale nie cierpi. Pisarz ten ma odwagę w tych strasznych czasach pisać o — Francji jakby zapomniał, że istnieje własny kraj.

To samo odnosi się do t.zw. publicystów katolickich. Jan Tokarski pracuje w „Veritas'ie", więc się wyklucza. Mianowicie znajduje się od Jury o dziurkę od klucza. Wartości zaś nigdy się nie da ocenić przez dziurkę od klucza. Ojciec Bocheński, Włodzimierz Dołęga, Cyryl Wodziński, Maria Winowska. to są jednak publicyści za bardzo katoliccy. O. Bocheński źle się wyraża o nacjonalizmie, dwaj dalsi pisarze mają sympatie proukraińskie, Maria zaś Winowska też coś za bardzo lgnie do tych Hiszpanów.

Wielka szkoda, że nagród nie mogli przyznać sobie członkowie Jury. Jest to niepowetowana strata dla polskiej poezji. Bo, proszę Państwa, w Jury zasiadło trzech naszych największych poetów, wybitny znawca poezji prowansalskiej oraz świetny interpretator Prospera Mérimée'go. Podobno nawet kochany przez wszystkich ks. Tadeusz Kirschke ukradkiem pisze wiersze. Bo że w rękawie nosi Gałczyńskiego, o tym już wróble ćwierkają na Earls Courcie.

A teraz, proszę Państwa, przejdźmy do gościnnych apartamentów Księdza Prałata, na tradycyjną lampkę wina, przy której laureaci odczytają nam swoje wiersze.

Jan Bielatowicz

NAGRODA LITERACKA „WIADOMOŚCI POLSKICH"

W ubiegłym miesiącu minęło 10 lat wydawnictwa Wiadomości Polskich w Stockholmie, i z okazji tej rocznicy redakcja wyznaczyła nagrodę literacką za utwór poetycki.

Nagroda wynosi 500 koron szw. czyli ok. 100 dolarów.

Ubiegać się mogą o nagrodę tylko autorzy utworów dotychczas nie drukowanych, natomiast nie są stawiane żadne ograniczenia co do treści. formy poetyckiej, lub objętości. Może to być zarówno zbiór wierszy, jak i jeden wiersz, liryka i utwór dramatyczny, lub pieśń.

Ogłoszenie wyniku konkursu nastąpi 3 maja 1951 r.

Osteczny termin nadsyłania prac upływa 31 marca 1951. Prace podpisane godłem lub pseudonimem należy nadsyłać listem poleconym do „Wiadomości Polskich", Riddaregatan 25, Stockholm, Sweden. Do przesyłki należy dołączyć zapieczętowaną kopertę z godłem, z zawierającą nazwisko i adres autora.

NOWY ZARZĄD ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R.P.

W dniu 9 grudnia 1950 r. odbyło się w Londynie doroczne Walne Zebranie Związku Dziennikarzy R. P. na którym wybrano nowy Zarząd. Prezesem został ponownie p. Bolesław Wierzbiański, do Zarządu weszli: pp. J. Czaharski, T. Łada-Bieńkowski. A. Dargas, P. Hęciak, T. Horko, H. Malanowicz, R. Mossin, R. Piestrzyński, L. Rubel, Z. Racięski, W. Trościanko, R. Zakrzewski.

Do Komisji Rewizyjnej zostali wybrani: pp. S. Benedykt, A. Bregman, W. Leitgeber, M. Męcińska, J. Ostrowski, J. Prądzyński, M. Święcicki oraz: pp. J. Drobnik (Belgia), J. Jankowski (Francja) i L. Kociemski (Włochy).

Sąd Koleżeński stanowią: pp. A. Bogusławski, St. Janicki, T. Katelbach, I. Klibański, S. Mękarski, M. Obarski, K. Okulicz, W. Wasiutyński i K. Wierzbiański oraz pp. J. Bielski (Niemcy), F. Chrzanowski (Francja) i T. Norwid-Nowacki (Szwecja).

POLSKIE PIELGRZYMKI DO RZYMU

Wobec zakończenia prac Podkomisji Pielgrzymkowej, Instytut Polski Akcji Katolickiej w W. Brytanii składa najserdeczniejsze „Bóg zapłać" tym wszystkim, którzy się przyczynili do organizacji 3 grup pielgrzymkowych, obejmujących ponad 400 uczestników. W związku z licznymi pytaniami, Instytut wyjaśnia, że w roku bieżącym więcej pielgrzymek nie organizuje.

ZARZĄD I.P.A.K.

KURS DLA MŁODZIEŻY POLSK. W CZASIE WAKACJI ŚWIĄTECZNYCH

Komitet Opieki nad Młodzieżą Szkolną przy Polish Research Centre w Londynie organizuje w okresie zimowych wakacji świątecznych KRÓTKI KURS DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Program obejmuje: HISTORIA POLSKI — prof. Henryk Paszkiewicz, PIĘKNO MOWY POLSKIEJ — dr. L. Pobóg Kielanowski.

Wykłady będą się odbywać w lokalu Polish Research Centre (1-sze piętro), 51, Eaton Place, S.W.1.

w dniach 27, 28, 29 grudnia 1950 i 2, 3, 4, stycznia 1951.

od godz. 10.30 do godz. 12.30, po dwa wykłady dziennie.

W przerwie między wykładami młodzież otrzymuje drugie śniadanie.

Opłata za kurs wynosi sh. 10 od słuchacza płatnych przy zgłoszeniu.

Zapisy przyjmuje p. M. Małachowska (Instytut Polski Akcji Katolickiej w W. Brytanii, 51, Eaton Place, S.W.1., 1-sze piętro) pisemnie lub osobiście codziennie za wyjątkiem soboty i świąt 10 — 13.

SUBSKRYPCJA NA KSIĄŻKĘ T. WITTLINA „DIABEŁ W RAJU"

Została rozpisana subskrypcja na książkę Tadeusza Wittlina p.t. „Diabeł w Raju".

„Diabeł w Raju", to obszerna powieść, — satyryczny pamiętnik autora z Rosji Sowieckiej, która po francusku była drukowana przez największy dziennik belgijski: "La Libre Belgique", a wkrótce ukaże się po angielsku, w języku polskim zaś zostanie wydana jedynie drogą prenumeraty. Książka ta, licząca około 350 stronic, drukowana na dobrym papierze, z ilustracją na okładce będzie kosztowała 10 sh. ZAMÓWIENIA WRAZ Z OPŁATĄ NALEŻY PRZESYŁAĆ WPROST DO AUTORA NA ADRES: TADEUSZ WITTLIN, c/o GRYF PUBLICATIONS Ltd., 169-171 BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON S.W.11

EMIGRUJĄCY, UWAGA!

Do dnia 31 grudnia b.r. należy złożyć w Central Polish Resettlement Office, 24, Cumberland Terrace, Regents Park, London N.W. 1., wypełniony formularz Form M 33, który otrzymać można w najbliższym Labour Exchange Office. Tylko złożenie podania w powyższym terminie zapewni bezpłatny przejazd do Australii i innych krajów. Podania otrzymane po 31 grudnia pod żadnym pozorem rozpatrywane nie będą.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. KUROWSKI, Anggatan 6 c. Lund, Sverige, Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734